



Z PAMIĘTNIKA ROMANA

Roginińskiego

1859—1863

WYDAŁ

Aleksander Krauska

I.
Szkoła wojskowa polska w Genui i Cuneo.

II.
Zaczątki powstania 1863 r. na Podlasiu
i na Litwie.



~~Wzrost~~ *u*
~~Znak~~ *854*
~~Nr inw.~~ *1103*

~~Wzrost~~ *N.*
~~Znak~~ *993*
~~Nr inw.~~ *996*

KRAKÓW

NAKLAD I DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓLKI

1898



1103



10013850

Z PAMIĘTNIKA ROMANA



~~Dziś. 11~~
~~Znak 854~~
~~№ inw. 1103~~

~~Dziś. N~~
~~Znak 2893~~
~~№ inw. 945~~



Roman Ręziński

Kopia fotogramu, zdjętego w Marcu, 1863 roku,
z polecenia dowódcy rosyjskiego, gen. Nostitza,
w Brześciu Litewskim, po rozbięciu oddziału
powstańczego pod Borkami, w Stonimskim,
na Litwie.

učen gimnazijum brelowsko
nr. 4 r. 1880 w Brelow
zmarł F. R. 905 m. i. c. u. w. U. r. i. u. i. l.



WSTĘP.

Przed kościołem OO. Karmelitów w mieście W. zgromadziło się szczupłe grono ludzi dojrzałego wieku męskiego, wyczekując z zaciekawieniem zbliżania się nowych przybyszów, którzy z rozmaitych stron ciągnęli na miejsce umówionego spotkania.

Był to dzień 4 czerwca 1896 roku, trzydziesto-pięcioletnia rocznica opuszczenia ławy gimnazjalnej przez gromadkę przed kościołem zebraną, zbierającą się peryodycznie, najprzód, co lat dziesięć, a następnie — ponieważ życie biegnie rącej, im bardziej do kresu się zbliża — i co lat pięć, by takim uświęceniem pamiątki dni jutrznianych, zacisnąć węzły przyjaźni i koleżeństwa, zadzierżgnięte za młodu.

Naturalną losów koleją, z każdą rocznicą zmniejszało się owe grono i z rezygnacją spoglądało

w przyszłość, wyczekując chwili, gdy ostatni z grona przyjdzie ostrzelać plac spotkania i pomodlić się za duszę tych, co już wcześniej swą ziemską zakończyli pielgrzymkę.

Tym razem jeszcze nie bardzo się przerzedziły szeregi. Od ostatniego spotkania czterech jedynie nie dopisało...

I białe zwolna, ongi tak czupurnie w świat spoglądające głowy i chyliły się zwolna ku ziemi, ongi tak sprężyste karki, lecz z oczu wszystkich tryskał ogień młodzieńczego zapału i radości, że po latach wielu, znowu mogli uściskać dłoń bratnią i przekonać się, że między owym gronem niema ludzi wykolejonych i nadłamanych, lecz że wszyscy, w miarę możności, pracują na znojnej glebie życia powszedniego, nie wyzuwszy się z ideałów, którymi ich piękna namaściła młodość.

Byli między owym gronem: ziemianie, strzegący czujnie ojczyzstego kawałka ziemi; byli przemysłowcy i fabrykanci, byli zacni i skromni urzędnicy instytucyj obywatelskich, byli adwokaci i literaci, nie obcego ogółowi nazwiska, był nawet między nimi i bankier, wyjątkowej — nie tylko między bankierami — zacności i uczynności, do którego kieszeni znajdowali zawsze dostęp nie tylko kłedy biedniejsi, lecz i wielkie i ważne sprawy, z filantropią i oświatą krajową związane. Czas nie oziębił uczuć serdeczności między członkami grona, zrekrutowanego z najrozmaitszych warstw społeczeństwa

rodzimego. Dobrze zrozumiana równość sprzęgła ich na gruncie wzajemnego przywiązania i życzliwości bratniej, a poczucie obowiązku względem kraju spotęgowało owe węzły cementem wspomnień przeżytej doby — doniosłości historycznej, która, w ostatnim trzydziestopięcioleciu, nie tylko dla nich, lecz i dla szerokiego ogółu, nie była pozbawiona cech tragicznych...

Gdy już ostatni z oczekiwanych kolegów znalazł się na miejscu spotkania, i zebrane grono, po wesołym powitaniu się wzajemnym i po obliczeniu głów siwych, lub też zupełnie bezbarwnych, zabierało się do wstąpienia w progi kościoła, dla wysłuchania mszy żałobnej, pojawiła się jakaś nieoczekiwana postać, w osobie szpakowatego, lecz dzielnie, po żołniersku, trzymającego się mężczyzny, który zbliżywszy się do zebranych, wyciągnął ku nim ręce z zapytaniem:

— Czy mnie poznajecie bracia?

— Roman! dzielny Roman! — zawołało kilka głosów i wnet otoczono przybysza z oznakami radości i zdziwienia, tak jak się wita człowieka nieoczekiwanego, a pożądanego, od lat dawnych z orbity stosunków potocznych wytrąconego.

— Nie zapomniałem o rocznicy naszej — odezwał się przybysz — a nie moja, jak wiecie, wina, żem na poprzednich jubileuszach nieobecnością swą świecił. Teraz jestem znów wolny, o ile nim być może dziecko tego kraju. Odpokutowałem — jeśli

tak chcecie — za grzechy młodości, niedoświadczenia i szlachetnych krwi porywów, oderwałem się od szubienicy, odsiedziałem karę w kopalniach i na zesłaniu; obecnie zaś, korzystając z manifestów, pracuję wraz z rodziną w odległym kącie, na kawałku ziemi, oddany wspomnieniom lat ubiegłych, i oto, stoję wśród was, ubielony nieco, lecz nie przygarbiony, i patrzę śmiało w oczy wasze, jak człowiek, który w walce życiowej wytrzymał, przebolewał, a nie złamał się i nie skisł moralnie!...

Wyciągnęły się ku przybyszowi ręce kolegów i lzy rozrzewnienia były odpowiedzią na takie słowa powitania. Przypomnieli sobie serdecznego paliwodę Romana na ławie szkolnej, niezwykle losów koleje, jakie przeżył, a które znano z opowieści jedynie, ze wzmianek dziejopisów nieszczęsnego roku 1863; przypomnieli sobie, że ten, którego widzieli przed sobą, porwany prądem ogólnym, ruszył na czele młodzieży na Podlasie i Litwę, stoczył kilka krwawych bitew, i osaczony wreszcie przez wroga względem powstania usposobionych chłopów prawosławnych na Pińszczyźnie, wzięty w niewolę, dzięki jedynie szlachetności dowódcy rosyjskiego, generała Nostitza, który umiał uszanować w nim nieustraszone męstwo, uniknął stryczka...

Nie on jeden z pośród dawnych kolegów gimnazjalnych ujawnił czynem bezgraniczne poświęcenie dla kraju, w epoce, gdy, niestety! za poświęcenie takie uważano — nie mrówczą pracę około odbudowy

ruin, dawnymi klęskami spowodowanych, lecz — zapał i gotowość do przebicia muru głową własną, lub też brawurę rzucenia się z kijem w rękę na zionące ogniem paszcze armat...

Nazwiska: Leona Frankowskiego, Symeona Rapackiego, Józefa Łazowskiego, Jana Rzeszotarskiego i Grabowskiego i wielu, wielu innych, zarejestrowały się w katalogu takich szlachetnych, lecz nierozważnych ofiar młodzięczego animuszu. Wszyscy oni legli na placu boju i skromny krzyżyk nie znaczy nawet kresu ich wędrówki doczesnej. Ocalał jedynie ten, który łącząc pogardę śmierci, z żądzą czynów rycerskich, obudzoną pod wpływem pieśni wieszczów epoki romantycznej, pospieszył wprost z ławek szkolnych, do Cuneo, by odbyć studia przygotowawcze do żołnierskiego zawodu i przywództwa kup zbrojnych, planowanych już wówczas (w r. 1860) na wypadek zamętu wojennego w Europie...

Odświeżyły się wszystkie owe wrażenia i wspomnienia przeszłości w poufnej gawędzie, która, po nabożeństwie, odbyła się za miastem, za skromnym stołem biesiadnym.

Przypominano sobie, „Metamorfozy“ Kraszewskiego, w których, zebrani po latach wielu, towarzysze szkolni opowiadają przebyte życia swego koleje.

Za ich przykładem i gromadka, o jakiej mowa, wysłuchała opowieści szarego żywota każdego

z obecnych. Gdy przyszła kolej na Romana, wszyscy z zaciekawieniem wysłuchali odysei jego życia i dzięki wynurzonej prośbie, dał się opowiadający nakłonić do ujęcia swej relacji w formę luźnego, dorywczo spisanego pamiętnika, który, jako autentyczny przyczynek do historyi zaczątków ruchu zbrojnego z r. 1863, trzymany w tonie ściśle przedmiotowym, bez cienia fanfaronady, a przytem jako zawierający charakterystyczne szczegóły lekkomyślności, nierozwagi i karkołomnych rzutów młodzieńczego zapału ówczesnego pokolenia, nie będzie bezwątpienia obojętnym dla przyszłych owego nieszczonego ruchu dziejopisów.

I.

SZKOŁA WOJSKOWA POLSKA we WŁOSZECH.

1859—1862.



I.

Było to w Listopadzie, 1859 r. W Paryżu Ludwik Mierosławski wypowiedział do młodzieży polskiej słynną, upstrzoną ognistemi frazami, mowę, rozpoczynającą się od słów: „Młodzi! dumkami boleści naszych wykołysana!“ obejmującą w dalszym ciągu zachętę do naśladowania Spartan i wodza ich Leonidasa, co to „zginął w obronie ojczyzny pod Termopilami, na czele trzystu młodzieńców“. Gdy dalej wspomniał o Bogu, który wybawić musi Polskę z niewoli, wykrzyknął patetycznie: „Nie ten to Bóg dla nas, co siedzi w Sytyńskiej kaplicy, w chaldejskim szlafroku, z brodą rozczochraną od Zenitu do Nadyru, lecz ten, który poprowadzi kohorty nasze na błonia ojczyste!...“

Mowa ta rozeszła się w ulotnych świstkach po kraju, a że w owej epoce Mierosławski był dla

nas, młodych, jakimś bożyszczem, na które spoglądaliśmy z wiarą i nadzieją, jako na niezawodnego zbawcę Polski, więc ognista owa mowa stała się dla nas niejako hasłem, zastępującem dawną pobudkę wojenną.

Wkrótce po tej mowie rozesał Mierosławski wezwanie do młodzieży, by przybywała ze wszech stron i utworzyła legion, celem odbycia kursu nauk wojskowych, w szkole, która, we Włoszech, dla polskiej młodzieży, utworzoną być miała.

Jeszcze nie przebrzmiały wówczas echa podań o legione polskim, utworzonym w r. 1848 we Włoszech, przez poetę-wodza Mickiewicza, którego hasłem było wówczas „przez Florencję, Medyolan i Czechy, dostać się do Krakowa“.

Nie przebrzmiały jeszcze echa o legione polskim, utworzonym w r. 1849 we Włoszech, w Genui, przez kilkudziesięciu Polaków, pod wodzą pułkownika Fijałkowskiego, rodem z Korony, kapitana z roku 1830, który bronił przeciw Austryakom mostu Bianchetti, przez dwie doby, z dwiema załedwie armatkami.

Genua ofiarowała wówczas owym rycerzom czapki z trupiemi główkami i nazwała ich „nieśmiertelnymi! Jeszcze w r. 1862 można było widzieć w Genui, na placu, gdzie obecnie wznosi się pomnik Kolumba, dom, którego boczna ściana nabita była kulami armatniami, skierowanemi ongi przeciw legionowi Fijałkowskiego. Nie przebrzmiały

wreszcie jeszcze echa legionów kozackich Sadyka baszy, utworzonych podczas wojny wschodniej.

Pod wpływem owych podań, młodzież polska w Koronie, owiana duchem patriotyzmu, porzuciła dotychczasową beczynność i życie oddane rozrywkom, i z zapalem zabrała się do pracy nad moralnem swem odrodzeniem. W Marymoncie pojawia się Ukrainiec, Zygmunt Drohomirecki; tworzy kółko inteligencji, które zrywa z dotychczasową niefortunną tradycją Marymontczyków i nawołuje się wspólnie do reformy swych obyczajów.

Odgłosem owych patriotycznych usiłowań było w r. 1858 głośne zajście z junkrami z cytadeli, zakończone krwawo...

Drohomirecki opuszcza Marymont i wychodzi za granicę. Był on następnie dowódcą oddziału kawaleryi, zrekrutowanego z młodzieży, która przybyła z Heidelbergera i Paryża i w czasie jednej z potyczek w Płockiem poległ wraz z całym swoim oddziałem.

Nastąpił rok 1857, pamiętny wjazdem cesarza Aleksandra II do Warszawy. Wszystkie te fakta podniecały młodzież, a gdy pod wpływem mowy Mierosławskiego, przyjechał do Warszawy z Paryża były oficer ułanów rosyjskich, Narcyz Jankowski, obywatel z Podola, inteligentny i pełen zapалу człowiek, młodzież owa zawiązała kółko tajne, na którem zaczęła gorąco zajmować się sprawą od-

rodzenia Polski i myślą zawiązania za granicą nowego legionu *).

Wojna włoska i wyprawa Garibaldeggo pociągnęły za sobą młodzież warszawską. Kółko Jankowskiego rozszerzyło się. Jeden z pierwszych ubywa Olszewski, dalej, Kazimierz Wolski (ten był następnie u Garibaldeggo w straży przybocznej; w r. 1863, w noc powstania, ujęty w Płocku i rozstrzelany) z petersburskiego uniwersytetu i Władysław Rylski, z moskiewskiego — Buchowiecki, Litwin Bolesław Kołyszko (o którym Hercen, opisując w „*Kołokole*“ sprawę studencką z r. 1860 pisze „*mołodiec Kołyszko*“ i który, po wybuchu powstania, znalazł się na Litwie, był przy Zygmuncie Sierakowskim, a po rozbiciu oddziału pod Dynaburgiem, powieszony w Wilnie, oberwał się przez silne drgnięcie ciałem...)

Najwięcej ruszyło młodzieży z kijowskiego uniwersytetu. Był między nią Stefan Bobrowski (zginął w pojedynku z Grabowskim), Włodzimierz Mi-

*) Ów Narcyz Jankowski w r. 1860 wyjechał znów za granicę. Aresztowany w Krakowie, wydany został rządowi rosyjskiemu. Wywieziony do fortecy kijowskiej, dostał pomieszania zmysłów i jako „Malek-Adel“ zesłany był do kopalń syberyjskich. Był w warzelnii soli „Usolu“, pod Irkuckiem, ztamtąd po manifestie 1883 r. wywieziono go do Kazania i pomieszczono w domu obłąkanych. Za staraniem brata Leonarda pomieszczonym został w domu zdrowia w Kijowie, gdzie do dziś dnia się znajduje, rozmawiając z duchami...

lewicz, Władysław Jabłonowski, Gustaw Wasilewski (Ukraińiec, był następnie agentem Komitetu centralnego w rozjazdach, zginął w oddziale Lelewela w Lubelskiem) Wystouch, Litwin, i wielu innych.

Wszyscy podążyli pieszo, przez Prut, by przez Turcyę dostać się do Włoch, i wstąpić do szkoły wojskowej, z której zapowiadziany i upragniony legion miał się utworzyć.

W pierwszej połowie 1860 r. garstka wychodźców, z niewielkim zasobem pieniężnym dotarła do Neapolu. Tu zgromadziwszy się w jedno koło, zaczęto pytać, co robić dalej? gdyż o szkole wojskowej jakoś było głucho. Wojna wyswobodzenia już się skończyła, już Cavour zakładał podwaliny nowego państwa, Wiktor Emanuel zasiadał we Florencyi, a Garibaldi na swojej Caprerze.

Zaprawdę, nie do zazdrości było położenie wychodźców polskich! Zebrali cały fundusz jaki im pozostał, utworzyli wspólną kasę i przenieśli się do miasteczka Nolli, pod Neapolem, gdzie konsystowały owe dwa legiony węgierskie, uformowane w czasie wojny z emigrantów Węgrów, pod wodzą generała Türa. To, bodaj, że najbardziej pociągnęło do wyboru owej miejscowości. Wybrano radę gospodarczą, urządzono wspólną kuchnię, wyznaczono 17 centimów na utrzymanie dzienne każdego. Zabezpieczywszy w taki sposób tymczasowy

był materyalny tułaczów, pomyślano i o głównym celu zamierzonej akcji.

Wysłano tedy dwóch delegatów do Paryża, by się dowiedzieć o zamiarach Mierosławskiego, donieść mu o zebraniu się młodzieży, pragnącej wstąpić do szkoły wojskowej, z którejby się następnie wytworzyły przysze kohorty polskie... Wysłani zostali z taką misją: Włodzimierz Milowicz i Wysłouch, a za nimi podążyli Stefan Bobrowski i Gustaw Wasilewski.

Dni upływały za dniami, wieści żadne z Paryża nie nadchodziły, wreszcie powrócił Wysłouch, ze smutną nowiną, iż Mierosławski ani myśli o utworzeniu szkoły wojskowej. Zadowolnił się tylko patetycznym oświadczeniem: „Stwórzcie legion, a ja was poprowadzę do boju!”

Tymczasem środki gromady wyczerpywały się. Położenie było bez wyjścia. Trzeba było myśleć o zaspokojeniu głodu, który, lada chwila, mógł zagrozić. Kilku odebrało jakie takie zapomogi z kraju, oddawszy część ich na użytek ogółu; inni podążyli do Paryża i do Heidelberga, by tam zdobyć wiedzę, a później i środek utrzymania. Tak wyjechał między innymi Arcimowicz, student kijowskiego uniwersytetu, do Paryża. Będzie o nim następnie mowa. Reszta pozostała — zacieśniła między sobą węzły jedności, a także i węzłki woreczka kasy, by coraz mniej wydawać. Wtedy to kilku z nich chcąc ulżyć ogółowi, zapisało się na ochotników do

owych legionów węgierskich, pod wodzą Türa. Między innymi wstąpił do owego legionu Władysław Jabłonowski, ten sam, co następnie dowodził oddziałem, w bitwie pod Węgrowem...

II.

Tymczasem garstka młodzi siedziała w Nolli, bez określonego planu działania na przyszłość. Nastąpiły we Włoszech zmiany: śmierć Cavoura, pierwszego filaru jedności Włoch, i agitacye stronnictw politycznych, by kierunek polityki zagranicznej dostał się w powołane ręce. Przybył do Genui i lew z Caprery, by podać głos za wybranym, a był to głos potężny, górujący nad wszystkimi. Orzekł, że następcą Cavoura ma być Ratazzi i tego wybrano.

Podczas gdy Garibaldi bawił w Genui, zięć jego, doktor Ochipienco wybrał się do Neapolu i wstąpił do Nolli. Tam zetknął się z kilkudziesięciu młodzieńcami, cudzoziemcami i losem ich zająć się postanowił. Byli wtedy lepsi Włosi pod wpływem uczuć, które, w szlachetnych sercach, budzi wyzwolenie ojczyzny. W konstytucyi swej, również 3 maja uchwalonej, zamieścili ustęp: „Na pamięć bolesnych dni naszej niewoli i na podziękowanie Bogu za wolność, postanawiamy otworzyć wrota naszej Ojczyzny wszystkim tym, którzy będą potrzebować

naszej pomocy, ofiarowujemy im nadto na utrzymanie po dwa franki dziennie i t. d.“

Dowiedziawszy się, że młodzież polska w Nollu oczekuje utworzenia szkoły z której wyjść mają kadry polskie, zapewnił, że bezzwłocznie uda się do Garibaldiego, by się ową młodzieżą zaopiekował. Słowa te wlały w serca wygnańców otuchę, w chwili, gdy już pod brzemieniem zwątpienia upadali.

Nie przeszło parę tygodni, gdy doktor Ochi-pienco powrócił, i zabrawszy nas wszystkich na okręt, popłynął z nami do Genui.

Dowiedzieliśmy się później, że Garibaldi, spowodowany prośbami swego zięcia, on, co znał Polskę z historii Kościuszki, która go w Ameryce szczerze zajmowała, wymógł na Ratazzim zezwolenie na utworzenie szkoły wojskowej polskiej, zebrał kilkunastu markizów genueńskich, z wezwaniem o składkę, i tym sposobem utworzył fundusz 17.000 lirów. Prócz tego markiz Bianchetti ofiarował swój dom na koszary, ten sam dom, wprost mostu, tak dzielnie ongi przez naszych bronionego. Inny znów ofiarował swój pałac za miastem, gdzie na dziedzińcu obszernym można się było uczyć musztry i fechtunku, co było tem ważniejszym dla nich, że w Genui placów nie masz, a żołnierze odbywają musztrę na ulicach.

Przystąpiono do wyboru skarbnika, któryby owym funduszem zarządzał. Wybór padł na osobę

Polaka, Dulfusa, zacnego ze wszech miar człowieka. Syn doktora wojsk polskich z 1830 roku, był jako porucznik w bitwie pod Ostrołęką i tam otrzymał bagnetem pchnięcie w piersi. Miano go już za umarłego i chciano pochować, lecz dał znak życia i ciężko chorego powieziono do szpitala, gdzie się z rany swojej wyleczył.

Wyszędłszy za granicę, powędrował do Włoch. W roku 1849 był w szeregach Karola Alberta, gdzie ze swymi strzelcami uwolnił osaczonego przez Austryaków króla, lecz sam dostał kulą w nogę. Karol Albert i syn jego Wiktor Emanuel okazali mu wiele współczucia. Otrzymał tytuł barona, 12 tysięcy lirów rocznej pensji dożywotnio i zamieszkał w Genui, gdzie był znany pod nazwą *bravissimo Polacco!* Temu to Dulfusowi ofiarowano urząd skarbnika funduszu szkoły wojskowej, którą ogół mianuje błędnie szkołą Mierosławskiego, jakkolwiek, jak widzimy, była to szkoła Garibaldiego.

Przybyłej młodzi ofiarował Garibaldi sto koszul czerwonych, sto kolder, wyrobił u rządu polecenie dostarczenia uczniom karabinów. Wybór instruktorów i przedstawiciela szkoły pozostawiono samym uczniom, z warunkiem wyjednania zatwierdzenia nominacji przez władze włoskie. Wreszcie wyjednał Garibaldi zasilek dla szkoły, w kwocie trzy tysiące franków, na zasadzie przytoczonego wyżej punktu konstytucyi.

III.

Wtedy to młodzież wysłała ponowną deputację do Paryża, do Mierosławskiego, z zaproszeniem, by bezzwłocznie przybył do Genui i urządził szkołę po wojskowemu. Po wielu rozprawach, gdy Mierosławski spostrzegł, że w razie odmowy z jego strony młodzież zwróci się do generała Wysockiego, zgodził się na wyjazd do Genui.

Podówczas mieszkał tam major Englert, ze szkoły podchorążych 1830 roku, ten sam, co podczas kampanii węgierskiej sżyftował generałowi Wysockiemu bataliony, ten, co pod Szulich prowadził batalion Polaków na armaty austriackie i zdobył je za jednym zamachem.

Ów to Englert stanął jako instruktor piechoty. Był to typ owych podchorążych, co to fechtowali się na bagnety w Belwederze, na pokojach ks. Konstantego. Pozostał instruktorem aż do końca istnienia szkoły. Zginął następnie w powstaniu w oddziale Czerwińskiego, w Lubelskiem, w pierwszej bitwie, stoczonej po przejściu granicy galicyjskiej.

Drugim instruktorem do wykładu artylerji, był również mieszkający w Genui, były oficer landwery pruskiej — Langiewicz, późniejszy dyktator!

Zdolności bardzo miernych, uczył artylerji takiej, jaką chyba znano przed wynalazkiem armat...

Znajdował się przy Mierosławskim niejaki kapitan Cywiński, stary emigrant, z Turynu, który sam nie wiedział, czego ma właściwie uczyć.

Mierosławski wykladał niby strategię, lecz właściwie uczył kosynierki, urządzając jakieś, śmiechu warte, maszyny, do zdobywania armat nieprzyjacielskich, tworząc rozmaite *carré* przeciw kawaleryi — wszystko — pomysły, które tylko w nieporządnej jego głowie wytworzyć się mogły były.

Młodzież zaczęła tymczasem wydawać dziennik, pod nazwą: *Głos z Genui i Paryża*, lecz skończyło się na jednym zeszytcie, w formie broszurki, z wstępnym artykułem Gustawa Wasilewskiego, zaczynającym się od słów:

„Polsko! My Twoje benjaminy...”

Marzeniem jednak głównem młodzi, było stworzenie legii i wkroczenie z nią do Polski, pod wodzą Mierosławskiego.

Tak nadszedł dzień 29 listopada 1860 roku.

W szkole urządzono bankiet. Gustaw Wasilewski wznosił toast w słowach: „Zdrowie generała Mierosławskiego, który wiosną poprowadzi nas na błonia ojczyste! Niech żyje generał, wódz nasz. Wiosną, wiosną ruszymy!”

Wówczas Mierosławski w odpowiedzi podniósł kielich i rzekł:

— Piję zdrowie tego dobosza, który na czele dziesięcio-tysięcznego legionu, jaki mi dacie, poprowadzi nas do Polski!”

Pierwsza to była zimna woda, wylana przez Mierosławskiego na głowę młodzieży, pełnej zapału i poświęcenia, wierzącej, że to nie kto inny, tylko on jeden, stworzy ów upragniony legion i na jego czele sam wkroczy do ojczyzny.

IV.

Pomimo takiego zawodu młodzież na seryo zaczęła myśleć o wyprawie do kraju. Wtedy to powstał szalony projekt wylądowania z wiosną 1861 r. w Połudze.

Zacząto nawet do wyprawy tej czynić przygotowania i wysłano w tym celu do kraju, gdzie tymczasem zaszły znane lutowe i marcowe wypadki, kilku emissaryuszów, by się przekonać nacocznie, czy projekt ten może mieć szanse powodzenia.

Mierosławski widząc między młodzieżą jakieś konszachty, zabrał się do zredagowania ustawy, w której pomieścił punkt: „iż wszystkie listy które młodzież wysyła do kraju, winny uprzednio przechodzić kontrolę zwierzchności szkolnej“.

Ubodło to do żywego młodzież, nie życzącą sobie, by ją miano za dziecko, wymagające opieki. Zaczęły się żywe spory i nieporozumienia. Langiewicz stanął po stronie młodzieży, skutkiem czego, miał mieć miejsce pojedynek z Mierosławskim, lecz

ten ostatni, uważając się za nietykalnego, wyzwania nie przyjął.

Wówczas większość młodzieży, w drugiej połowie 1861 roku, postanowiła opuścić Genuę. Znalazł się w jej liczbie i Chmieliński, późniejszy naczelnik oddziału w Krakowskim i Sandomierskim (następnie rozstrzelany).

Gromada ta popłynęła do Turcji, dostała się do Mołdawii i tam pozostała do początku powstania. Jakie tam ciężkie przechodziła koleje, jak urządziła trakty, tłukąc kamienie drożne, byle tylko móż wyżyć? zapewne to ktoś inny opíše. Dosty tu nadmienić, że z tej to garstki Jeż utworzył ów świetny oddział, przeznaczony w r. 1863 do wkroczenia w głąb kraju.

Pozostała w Genui drużyna składała się z prostaczków, pozbawionych inicjatywy i kierunku. Wiedząc, że z nią nic nie podola, Mierosławski, pod pretekstem zwerbowania instruktorów, wyjechał do Paryża, pozostawiając uczniów własnemu losowi; opuścił ich i Langiewicz, choć pozostał nadal w Genui, tak, że jedynie zacny Dulfus zaopiekował się tą gromadką, by się nie rozpierzchła, aż do czasu, gdy się ktoś odpowiedni nie znajdzie, co by ster szkoły w swoje ujął ręce.

Mierosławski nie powrócił więcej, nie zgola zresztą nie uczyniwszy dla niej, nawet podczas swego w Genui pobytu.

Należałem przedtem do jego czcicieli, jako nie-

doświadczony młodzieniec. Rozczarowanie, jakiego doznałem, było bardzo dotkliwe.

Jeśli szkoła nasza wojskowa, której początki nie Mierosławskiemu, lecz wyłącznie Garibaldiemu, zawdzięczać należy, powstała później na nowo i przysięła istotne formy szkoły wojskowej, to stało się jedynie dzięki generałowi Józefowi Wysockiemu.

V.

Tymczasem w Koronie przygotowywała się na dzień 10 października 1861 r. manifestacja horodelska, na pamiątkę zjednoczenia Litwy, Rusi i Korony. Projekt do niej dało Lubelskie. Głównym działaczem był ksiądz Laurysiewicz, lecz gdy władze miejscowe wydały odezwę zabraniającą zjazdu, a komitet już miał zamiar go zaniechać, wtedy Warszawa zabrała się do dzieła i koło młodzieży wydelegowało mnie, Stanisława Szachowskiego i Kazimierza Sikorskiego, z mandatem, by się do Horodła udać.

Pracowali już tam Frankowscy, gdyśmy w przeddzień zjazdu do Stepankowic przybyli.

Akt zjazdu podyktował mi Szachowski. Podpisali go przedstawiciele 45 ziem. Zgodzono się, by go wręczyć Karolowi Majewskiemu do przechowania, lecz Leonard Sowiński nie uznał redakcyi jego

za dostateczną, przerobił ją więc, rozszerzył i w tej formie następnie ogłosił.

Powróciliśmy do Warszawy. 14 października ogłoszono stan oblężenia. Wieczorem w kole naszym nastąpił pierwszy wybór członków Komitetu centralnego, do którego weszli: Apollo Korzeniowski, Witold Marczewski, Ignacy Chmieliński. Każdemu dodano po dwóch pomocników. 15 października odbyło się nabożeństwo za Kościuszkę i znane aresztowania po kościołach. Mnie, Szachowskiego i Sikorskiego ujęto w kościele św. Jana i zaprowadzono do cytadeli. Podaliśmy się za rzemieślników i wypuszczono nas.

Wtedy to postanowiliśmy wyjechać za granicę, do szkoły wojskowej. Z nami wyjechało kilkudziesięciu młodzieży. Przeszliśmy granicę przez Drwęcę i za przewodem obywatela toruńskiego, Sulatyckiego, szczęśliwie dostaliśmy się do Paryża.

Przybyli z nami: z Petersburga — Zygmunt Padlewski i Władysław Kossowski, oficerowie artylerji, z Królestwa: Szachowski, Sikorski, Oksiński, Littich, Nowak, Wojciech Biechoński i inni, których nazwisk obecnie już nie pamiętam.

Młodzież ta miała swoje siedlisko w Paryżu, w *Passage de Commerce*, u znanego Janka, restauratora, ex-żołnierza polskiego. Stałym sekretarzem towarzystwa był Zygmunt Warylkiewicz, student petersburskiego uniwersytetu, używający pieczęci

z napisem: *Sanguis et ferrum libertatis via* (w powstaniu powieszony).

Prezesi towarzystwa często się zmieniali. Jednym z wybitnych był — Zenon Fisz, z Ukrainy.

Zaczęły się narady nad podtrzymaniem szkoły wojskowej, a właściwie, nad jej otworzeniem. Usiłowano na nowo zawiązać układ z Mierosławskim, lecz bezskutecznie.

Zwróciliśmy się zatem do generała Józefa Wysockiego, by przyjął zarząd szkoły, a gdy się zgodził, przystąpiliśmy do wyboru komendanta i nauczycieli.

Pierwszą czynnością było wysłanie telegramu do pułkownika Fijałkowskiego, owego dowódcy legionu nieśmiertelnych z Genui. Był on wtedy inżynierem w Hiszpanii. Drugi telegram wysłaliśmy do pułkownika Waligórskiego, b. profesora szkoły politechnicznej z roku 1830; następnie majora, który przy Małachowskim był w bitwie pod Kazimierzem. Z Anglii, gdzie był przy robotach dróg, i ze Szwecyi, gdzie był w zarządzie komunikacji, przyjechał Waligórski do Tulonu, gdzie budował statek do połowu koralu. Z jego strony również nastąpiło przyzwolenie.

Na instruktora kawaleryi wybraliśmy Józefa Czapskiego, pułkownika z powstania w Poznańskim, który był w Paryżu zecerem w drukarni polskiej.

Władysław Kossowski zobowiązał się wykładać pyrotechnikę (robienie ładunków, prochu, rac).

Zygmunt Padlewski — strategię.

Rogaliński, oficer ułanów austriackich — naukę konnej jazdy.

Stankiewicz — fechtunku.

Tak zabezpieczywszy sobie komplet nauczycielski, w trzech partyach po 20, wyjechaliśmy do Genui

VI.

Przybywszy do Turynu dowiedzieliśmy się o niespodziewanych zupełnie dla nas wiadomościach.

W Turynie przebywał stary emigrant, ks. Lubomirski, który po burzliwej przeszłości otoczył się gronem wychodźców, kupił wille, przyjmował tam przyjaciół i narzucał im się niezasłużenie w roli przewodnika. Ponieważ emigranci polscy, na mocy znanego punktu konstytucyi włoskiej, pobierali po 2 fr. dziennie zapomogi, przeto minister Ratazzi zażądał, by wybrali z pomiędzy siebie jednego, któryby te pieniądze dla nich podnosił co miesiąc i dzielił. Otóż wychodźcy wybrali do tej czynności ks. Lubomirskiego i to mu dało możność zbliżenia się do Ratazzi'ego.

Gdy Mierosławski wyjechał z Genui do Paryża, ks. Lubomirski ogłosił się naczelnikiem szkoły polskiej, wystosował do młodzieży odezwę, wzywającą

ją do utworzenia legionu i Ratazzimu przedstawił się jako naczelnik szkoły, z wyboru młodzieży.

Ratazzi, nieznając stosunków naszych, zawierzył Lubomirskiemu i w godności naczelnika go zatwierdził, wtedy właśnie gdyśmy do Turynu przybyli. Napisaliśmy tedy do Lubomirskiego list, z wezwaniem, by się dobrowolnie od tej godności usunął, co też się stało.

Szczęściem, że do Turynu przybył wtedy Garibaldi. Napisaliśmy do niego list zbiorowy, z prośbą o naznaczenie generała Wysockiego w tej godności i wysłaliśmy deputatów do tej misji, w osobach: Stanisława Szachowskiego i Walentego Mroczkowskiego.

Garibaldi przyjął ich życzliwie i obiecał poprzeć naszą prośbę przed Ratazzim. Jakoż gdy delegaci udali się z listem polecającym do ministra, ten zgodził się bezzwłocznie na nasz wybór, usprawiedliwszy się, że nieznajomość naszych stosunków była powodem poprzedniej nominacji.

Jednocześnie uprosili go delegaci, by wyznaczył im na szkołę inną miejscowość, nie Genuę, gdyż ta dogodną dla prowadzenia nauk nie była. Zgodził się i na to i wybrał miasto Cuneo, w Piemonckiem, tuż pod górami, gdzie oddał dawny kościół Franciszkanów na koszary, plac broni do mustry, ile trzeba będzie karabinów i 3.000 franków miesięcznie, tytułem zapomogi.

Tak więc zawiązała się rzeczywista szkoła wojskowa polska w Cuneo.

Po powrocie delegatów wysłaliśmy zaraz telegramy do generała Wysockiego i do reszty instruktorów naszych, by bezzwłocznie do Cuneo przybyli.

VII.

Na dni parę przed opuszczeniem Genui odbyliśmy spacer łodziami do willi Palaviciniego. W podróży powrotnej, byliśmy już w połowie drogi, gdy nagle powiał ciepły wiatr. Przewoźnicy zaczęli się niepokoić, że nie zdążymy powrócić przed burzą. Skierowaliśmy się też do brzegu, prześlicznego brzegu genueńskiego, pełnego rozpadlin skalistych, lecz rozkołysane fale, miotając naszą łodzią, niedozwalały nam dobić do jakiej takiej przystani. Zaczęliśmy też wyskakiwać z łodzi, w chwili gdy bałwany odpływały. Rozmaicie się to nam udawało. Jeden — mniej, drugi więcej się zamoczył, lecz gdy kolej nadeszła na Zygmunta Padlewskiego, ten się w rachubie omylił i skoczył właśnie w największy bałwan. Dzięki przytomności tylko zdołał jakoś wydobyć się z fali... lecz niestety! nie na długo. Sądzonem mu było bowiem zginąć nie w otchłani morskiej, lecz pod gradem kul, wymierzonych przez pluton żołnierzy rosyjskich...

Zmoczeni, wygramoliliśmy się wreszcie na ląd

i dostawszy się do pierwszej stacyi, pojechaliśmy do Genui, by pod latarnią morską zachwycać się burzą, co szalała długo, jako zapowiedź naszej przyszłej smutnej doli.

W dzień wyjazdu z Genui wszystkie dzienniki pożegnały nas wstępnyimi artykułami, pełnemi wspomnień świetnej przeszłości naszego kraju, bohaterkiego legionu, który bronił ongi murów tego miasta.

To był epizod końcowy historii szkoły wojskowej polskiej w Genui...

Celem objęcia koszar w Cuneo wyjechałem z Wojciechem Biechońskim, by jednocześnie przygotować część gospodarczą, przyjąć broń i łóżka od prefektury.

W Cuneo istniała szkoła wojskowa podoficerów bersaglierskich (strzelcy włoscy). Do szkoły tej przyjmowano tylko szlachtę, a dowódcą jej był pułkownik Pallavicini, który pomiędzy żołnierzami uważanym był jako trzeci żołnierz włoskiej armii zdobywszy sobie ten tytuł brawurą, okazaną podczas kampanii 1859 r. Pierwszym był Garibaldi, drugim — Wiktor Emanuel.

Szkoła owa bersaglierska przygotowała się na nasze przyjęcie. Muzyka pułkowa wyuczyła się marsza Dąbrowskiego.

W dzień przyjazdu naszych, cała szkoła 600 młodzieży, z Pallavicinim na czele, wystąpiła z bronią w rękę na wozal. Gdy pociąg stanął, muzyka

zagrała marsza Garibaldeggo. Szkoła sprezentowała broń. Myśmy czwórkami, w porządku prowadzeni przez Englerta, wyszli z wagonów. Poprowadzono nas z muzyką na czele do wyznaczonych koszar, gdzie zaprosiwszy szkołę, urządziliśmy dla niej poncz studencki. Nastąpiło wzajemne zapoznanie się, mowy, toasty, wiwaty; bankiet trwał do późna w noc.

Tegoż dnia przybyli nowi instruktorowie nasi, z Fijałkowskim na czele. Dulfus nawet przeniósł się z Genui; przyjechał również i Tryplin, doktor nasz, mieszkający w tem ostatniem mieście.

W kilka dni później i bersaglierowie wzajemnie nas zaprosili do siebie na bankiet. Wystąpili hucznie. Sala przybrana w festony z zieleni i broni, z nadpisami: *Evviva fraternita!* Każdemu z gości wyznaczono czterech asystentów. Obiad był suty, toastów wiele, nawet wierszem. Popisywał się nasz Waga i Raczyński. Wystąpił także tegoż dnia dziennik *Sentinella degli Alpi* z artykułem wstępnym na cześć naszą.

Na obiedzie byli sami uczniowie. Pod koniec przybyli do nas: Pallavicini ze swym sztabem i z władzą naszą.

Wzniósł toast na cześć szkoły i na powodzenie nasze.

Zamierzaliśmy ofiarować mu szpadę, lecz zanim nadeszła z Paryża, Pallavicini poszedł pod Aspro-

monte przeciw Garibaldiemu Ten ostatni otrzymał ranę, a Pallavicini został generałem brygady.

W szkole naszej, pod troskliwym kierunkiem Fijałkowskiego, zapanował porządek wojskowy.

O 9-tej rano wychodziliśmy na plac mustry; tu zwykle do 8-tej Englert ćwiczył nas w mustrze (gdy był deszcz — mustra odbywała się w kościele), potem było śniadanie, dalej lekcye, stosownie do ułożonego programu, o 12-tej obiad, przy którym, po czterech kolejno usługiwaliśmy, potem fechtunek, jazda konna. Od 4-tej do 6-tej znowu na placu, z Czapskim i Rogalińskim, mustra kawaleryi. O 8-mej wieczorem lekcye się kończyły. O 10-tej wszyscy winni byli być w koszarach, rano i wieczorem wszyscy stawali do apelu.

Oprócz lekcyj zwykłych instruktorów były lekcye pomocnicze dla tych, co nie byli jeszcze przygotowani do słuchania wykładów, a udzielali ich więcej przygotowani z naszego grona, głównie w matematyce, algebrze, geometryi. Ja miałem przyjemność pomagać kolegom w lekcjach matematyki.

Zwolna zaczęli przybywać do naszej szkoły nowi wychowañcy: Suzin, synowiec Adama, ze szkoły wojskowej w Petersburgu, co dopiero zaczął się uczyć po polsku w szkole (później był dowódcą w Augustowskim i zginął tam w jednej z bitew); Ramlow, student medycyny, prawosławny, który uciekł z drogi do Syberyi; Adam Radowicki, z Grodzieńskiego, dzielny kawalerzysta, był w oddziale

moim w Podlaskiem (rozstrzelany w Siedlecach), Włodzimierz Wolski, poeta, Floryan Niewiarowski i wielu innych, tak, że liczba uczniów doszła do 159-ciu.

Wprowadzono mundury legionów polskich na Węgrzech z 1848-go roku; granatowe kurtki, z amarantowemi wypustkami, rogatywki czerwone, letnie zaś kurtki białe. Na życie dla każdego przeznaczono po 1 lirze dziennie; tym zaś, co nic nie mieli z domu, po 4 sous dziennie, na kawę. Już wtedy, oprócz zapomogi rządowej 3 tysięcy franków miesięcznie, kraj zaczął pomagać generałowi Wysockiemu. Wszystkim instruktorom wypłacano pensye, tylko Dulfus i Padlewski jej nie brali.

Oprócz młodzieży szkolnej, złożonej z rozmaitych żywiołów i różnego stopnia wykształcenia, szkoła miała między sobą oddzielne „towarzystwo młodzieży“ na wzór takich, jakie istniały w Paryżu, Heidelbergu i w innych uniwersytetach, gdzie się Polacy gromadzili. Sekretarzem naszego towarzystwa był Waga, prezesem zaś — Padlewski.

Szkoła rozwijała się istotnie.

Nie można zataić, że były i wybryki młodzieńcze, co pochodziło od różnorodności żywiołów w niej zespolonych. Było kilka pojedynków na ostre, lecz takie objawy ujmy honorowi nie przynosiły, owszem, zaprawiały do przyszłej wojaczki.

VIII.

We Włoszech wielka uroczystość — rocznica nadania konstytucyi. Świętowano i w Cuneo. Miasto przysłało nam 20 biletów zapraszających na bankiet. Odbył się on w jednym z zamkniętych kościołów. Były różne toasty i mowy, niektóre do nas zwrócone. Odpowiedział na nie Padlewski, dziękując za gościnność okazywaną nam ze strony Włoch.

Po bankiecie były zaprosiny, to do prefekta miasta, to do dowódcy gwardyi narodowej, następnie odbył się bal w prefekturze, na placach zaś, zabawy dla ludu, z poczęstunkiem owocami cukrami, a wszędzie śpiewy i tańce.

Podczas świąt odbywaliśmy wycieczki w góry, po kilkunastu razem, co było jedną z miłszych zabaw naszych, gdyż i tu bez nauki przyszłej partyzantki się nie obywało.

Cuneo leży w bardzo malowniczej miejscowości, w kącie zetknięcia się Alp z Apeninami. W bliskości, o wiorst piętnaście, w górach znajduje się zakład leczniczy, dokąd przyjeżdżają śliczne ladies angielskie, by się kołysać w hamakach, z książką w ręku, dopóki spleen nie przejdzie.

Co drugi wtorek przyjeżdżał do Cuneo, za naszej tam bytności, Wiktor Emanuel, na polowanie, na które zawsze zabierał naszego Dulfusa, lub też przysyłał nam kozy zastrzelone.

Chodził w bluzie kamlotowej, z piórkiem u kapelusza, z fuzyą na ramieniu. Salutowaliśmy go przy spotkaniu po wojskowemu, a on nam się bardzo uprzejmie kłaniał, jak prawdziwy *il Re galantuomo*...

IX.

W kraju tymczasem manifestacje nie ustawały. W wojsku urządzał organizację Jarosław Dąbrowski. W Modlinie sformowało się kółko tajemne oficerów, lecz spisek odkryto. Śliwińskiego rozstrzelano, podoficera Szczura obito pałkami i zesłano do Nerczyńska; Potebnia uciekł. Dąbrowskiego aresztowano i zesłano na Syberję. Uciekłszy z Moskwy, zabrał z Niżniego Nowogrodu swoją narzeczoną, która tam również była zesłaną, dostał się za granicę, a następnie, już za komuny, w r. 1871, zginął od ran.

Wśród wzburzenia umysłów w kraju, rząd rosyjski, pragnąc usunąć za granicą zarzewia przyszłego powstania, zaproponował Rataziemmu, iż w zamian za zamknięcie szkoły wojskowej w Cuneo, uzna Włochy, jako państwo niezależne.

Ratazzi zgodził się na to i napisał do generała Wysockiego, do Paryża, by przybył do Turynu. Tu zawiadomił go o swem postanowieniu zamknięcia szkoły, lecz jednocześnie przyrzekł, że gotów będzie

pomódz nam do jej otworzenia, w innym państwie, zasiłkiem pieniężnym.

Wysocki podał cyfrę zasiłku na 200 tysięcy franków. Ratazzi przystał na nią, pod warunkiem, że umowa będzie zachowaną w tajemnicy i że wypłata nastąpi po wyszukaniu innej miejscowości na szkołę.

Należało zatem znaleźć miejsce odpowiednie. Uderzono jednocześnie w trzy strony: do Szwajcaryi wyjechało dwóch delegatów, do Szwecyi napisał dobrze tam widziany Waligórski, do Londynu pojechał Padlewski.

Wszędzie zgodzono się przyjąć nas, lecz pod warunkiem, że istnieć będziemy o własnych środkach. Anglia postawiła jeszcze warunek, by nas było sześciuset, i by ustanowić mundury legionów indyjskich. Dawali nam Anglicy koszary pod Londynem, co wyjednał Hercen i Wład. Zamojski. Za Anglią była większość.

Wtedy to znowu na scenę wystąpił Mierosławski. Puścił w świat broszurkę, z oskarżeniem Wysockiego, iż szkołę sprzedał Ratazziemu, że zniweczył jej o pracę i zdradził kraj...

Wysocki, chcąc się zupełnie niepotrzebnie oczyścić z potwarzy w obec kraju, wydrukował list Ratazziego, pisany do siebie, w dzienniku *Constitutionnel*, na dowód, że do zamknięcia szkoły był zagniony ważnymi względami.

Wówczas Ratazzi, słusznie obrażony, zasiłek obiecany cofnął.

Prefektura nadesłała nam rozkaz oddania koszar i opuszczenia miasta.

Skorzystał z tego dziennik humorystyczny „*Fischetto*“, wychodzący w Turynie i przedstawił dowcipną karykaturę. Sala z ławkami, na nich uczniowie z książkami pod pachą i szablami przy boku. W środku sali — Ratazzi, wysokiego wzrostu, z pince nez i miotłą w rękę, wymiata szkołę i uczniów, a w to miejsce wchodzi ataman kozacki z kilkunastu kozakami, z nabajkami zatkniętymi za cholewy butów i z szablami przy boku. Atamanem owym był poseł rosyjski. U spodu podpis: *Scuola degli Polacchi!*

X.

Mieliśmy tedy opuścić szkołę i ruszyć w świat, bez określonego celu.

Przybył generał Wysocki, celem uradzenia, co z młodzieżą począć, gdy nadspodziewanie dowiedzieliśmy się, że Garibaldi opuścił Caprerę i przybywszy do Genui wypowiedział mowę ognistą, która umysły Włochów poruszyła.

Zanosilo się widocznie na jakąś tajemniczą wyprawę...

Wysocki wystosował do Garibaldeggo list: „Generale — pisał w nim — gdziekolwiek się zwrócisz, gotowi jesteśmy iść za Tobą!“

Pojechał z owym listem do Garibaldeggo Pa-

dlewski, lecz wódz już przez Neapol wpadł do Sycylii i zatrzymał się w Palermo, gdzie go Padlewski dogonił.

Przyjął go Garibaldi życzliwie i zapowiedział wyprawę na Rzym.

W płomiennej mowie, jaką podówczas wypowiedział, zwrócił się z inwektywami do Napoleona III: „Ten, którego ręce zbroszone są krwią grudniowego zamachu, staje na zawadzie jedności naszej!”

— *Abasso Napoleone!* — zawołał lud i tłumnie pociągnął za swym wodzem do Rzymu. Pod Aspromonte zaszedł generał Pallavicini drogę Garibaldemu. Wszczęła się bitwa i lew z Caprery, raniony w nogę, dostał się do niewoli.

Wrócił Padlewski do Cuneo, gdzie zaszedł wypadek, który miał ważne dla wychowalców szkoły wojskowej następstwa.

Po uznaniu Włoch przez rząd rosyjski kilkunastu oficerów włoskich zebrało się w restauracji, by uczcić ów wypadek uroczystym bankietem. Było tam i kilkunastu naszych, którzy, oburzeni ogłoszonymi przez Włochów toastami, zaczęli wykrzykiwać: *Evviva Mazzini!*

Zaczęły się wzajemne wymówki i pogróżki, a gdy nad wieczorem Włosi wyprawiali serenadę pod oknami jednej z aktorek teatru, mieszkający obok kolega nasz, Tłuchowski, któremu się owe śpiewy niepodobaly, wylał szklanke wody na głowy podochoconych śpiewaków. Nastąpiło wyzwanie na

pojedynek Tłuchowskiego, lecz koledzy jego, w liczbie 159, nie przystali na taką pojedynczą rozprawę, lecz zażądali, by wszyscy będący w Cuneo włoscy oficerowie stanęli do pojedynku, na palasze, ze wszystkimi uczniami szkoły wojskowej.

Dano Rataziemmu znać o tem, co zaszło. Skandal niebywały! Trzysta pojedynków naraz!

Nadbiegł z Turynu pułkownik N. sekretarz Ratazziego, by strony pogodził i zapronował nam pewne ustępstwa.

Po długich naradach, stanęło na tem, że rząd włoski wyda nam paszporta, jako poddanym włoskim, a via, do Szwajcaryi, Szwecyi, Anglii i Francyi, jeśli zaś kto zechce, będzie mógł wstąpić do szkół włoskich, lądowych, lub morskich, byle tylko zdał egzamin. Tym, co wyjadą, miano zapłacić po 300 franków na podróż, instruktorom zaś całkowitą pensyę roczną. Wyniosło to razem 57.000 franków.

Po takim zgodzeniu sporu za wpływem naszej starszyny, postanowiliśmy opuścić Cuneo, lecz zażądano od wszystkich podpisania deklaracyi i zastrzeżono, że pieniądze będą dopiero wypłacone w Turynie.

Podzieliwszy się na partye, postanowiliśmy wyjechać do Paryża, a następnie do Anglii.

Miasto pożegnało nas kwiatami i tłumy ludzi wszystkich stanów odprowadziły nas na stacyę kolei.

Przed wyjazdem, kolega Stanisław Szachowski napisał adres dziękczynny dla przełożonych naszych, który opatrzone podpisami wszystkich wychowalców.

W połowie roku 1862 byliśmy już w Paryżu, gdzie jednak długo pozostać nie mogliśmy, z powodu czujności i podejrzliwości policji paryskiej, która nękała nas nieustannemi rewizjami i aresztowaniami.

W trakcie tego wypadki w kraju przyspieszyły nasz wyjazd.

II.

ZACZĄTKI POWSTANIA 1863 R.

NA PODLASIU I NA LITWIE.

(WYDANIE DRUGIE).



I.

Z kraju odebraliśmy rozkaz: „Wracajcie! bo czas się zbliża...” Wyjechaliśmy więc z Zygmuntem Padlewskim z Paryża, przez Berlin (gdzie się po raz ostatni spotkałem z Józefem Narzyskim) do Warszawy. Padlewski pojechał przez Poznań i Kraków, ja zaś przez Toruń, gdzie miałem wręczyć list powierzony mi przez generała Wysockiego — Gutremu i porozumieć się w paru sprawach z Sulatyckim, obywatelem z pod Torunia, bardzo podówczas w sprawie czynnym.

Zjechaliśmy się z Padlewskim w Warszawie, dnia 15 października 1862 roku. On pozostał w stolicy, ja zaś zostałem przez ówczesny Komitet Centralny zamianowany komisarzem województwa Podlaskiego, do którego były zaliczone powiaty: Biał-

ski, Siedlecki, Łukowski i Radzyński. Przedtem agentem komitetu w owym województwie był Edward Lisikiewicz, student uniwersytetu kijowskiego, kolega Ignacego Chmielińskiego. Mieszkał z matką w Zbuczyniu pod Siedlcami, gdzie była ich rodzinna wioska. Brat starszy trzymał pocztę, szwagier zaś Lisikiewicza, Jan Matliński, także przy matce mieszkający, czynny brał udział w organizacji ówczesnej.

Przyjechawszy w Podlaskie zastałem organizację tajną jeszcze w zawiązku. Szło więc o to, by ją rozprzestrzenić, rozpowszechnić między szlachtą zaściankową, tak w Podlaskiem liczną, i wciągnąć do niej mieszczan, służbę dworską, a lud wiejski przedewszystkiem. Trzeba więc było zszeregować pojedynczych ludzi, rozlokowanych po różnych punktach, w gromadki, poznać ich ze sobą i wskazać dalszy sposób działania... Pierwsze takie zebranie, złożone z członków organizacji z czterech powiatów, odbyło się w Łosicach, u doktora Czar-kowskiego, niezmiernie ruchliwego działacza. (Rozstrzelany został następnie w Siedlcach, niedługo po ślubie z młodą, inteligentną kobietą, która z rozpaczy po stracie męża dostała pomięszania zmysłów...)

Nastąpiły na owem zebraniu wybory członków do rozmaitych urzędów organizacji. Wojewodą podlaskim został Bronisław Deskur. Naczeinikami powiatowymi cywilnymi zamianowani: Siedleckiego

powiatu — Jan Matliński, Łukowskiego — słynny ksiądz wikary Brzoska (następnie dowódzca oddziału, ujęty w Łędzie i rozstrzelany), Radzyńskiego — Zieliński, obywatel, Białskiego — ówczesny pomocnik naczelnika powiatu N.

Od nich zależało dalsze wyznaczanie setników i dziesiętników. (System dziesiętny był przyjętym w organizacji). Do zbierania funduszków na każdy powiat wybranym był poborca.

Wtedy właśnie nakazanem było przez Komitet Centralny ogólne opodatkowanie kraju. Na pobierane pieniądze wydawano kwity, których numera ogłaszano w piśmie ówczesnem podziemnem „Ruch“, organie Komitetu Centralnego. Redakcyja owego pisma mieściła się przy ulicy Widok pod nr. 11, w mieszkaniu pani Heinrich, ciotki Bronisława Szwarca (Le Noir).

Szwarc był młodzieńcem inteligentnym, inżynierem, synem emigranta. Służył na kolei warszawsko-petersburskiej, w kompanii francuskiej. Aresztowany został w grudniu 1862 r. przy wykryciu drukarni „Ruchu“, za pośrednictwem policyi francuskiej, która wówczas była w zupełności oddaną usługom rządu rosyjskiego, aresztując osobistości podejrzone Polaków w Paryżu.

Główne swoje locum usadowilem w Białym, skąd dojeżdżałem do swoich powiatów. W Białym był podówczas proboszczem ks. Mleczo, u którego zamieszkałem. Czas schodził szybko, wypadki groma-

dzily się, zapowiadając rychłą burzę. Organizacya postępowała bystro. Wszyscy owiani byli duchem zapału i garnęli się do roboty. Mieszczanństwo po miasteczkach, szlachta zaściankowa, czeladź dworska — wszystko to stanowiło jedną zwartą falangę. Lud jedynie był opornym, nie okazywał zapału i wyczekiwał dalszych wypadków...

II.

W ciągu tych kilku miesięcy, w województwie podlaskim, pracowano gorliwie nad przygotowaniem umysłów do wspólnego działania. Ważnym tu czynnikiem był zjazd księży katolickich w Maciejowicach, na którym, jak to miało już miejsce na zjeździe w Sandomierzu, duchowieństwo jednomyślnie uznało władzę Komitetu Centralnego, z którego ramienia delegowanym był Jan Majkowski. Drugim takim zjazdem, nierównie donioślejszego dla województwa podlaskiego znaczenia, był urządzony przezemnie zjazd księży unickich. Odbył się on dnia 22-go grudnia 1862 r. w klasztorze Paulinów (następnie zniesionym), we wsi Leszno, o 10 wiorst od Białej odległej.

O zjeździe tym mało kto wiedział w Warszawie, oprócz Zygmunta Padlewskiego, Oskara Awejdy i Stefana Bobrowskiego. Nigdzie o nim nie wspominają, nawet Gillerowi zjazd ów jest nieznanym,

a przecież było na owym zjeździe 150 księży unickich, ludzi biednych, jakimi w ogóle byli w tę porę parochowie unicy, i wszyscy oni złożyli przysięgę na wierność rządowi narodowemu i wspólność pracy i poświęcenia, którego też później oczywiście złożyli dowody.

Zjazd ów wywołał dosyć charakterystyczne zajście. O jego wyznaczeniu dowiedziały się władze rosyjskie w Lublinie i doniosły bezzwłocznie o tem żandarmom w Białej, z rozkazem, by go nie dopuścili. Nie wiedziały tylko o jego miejscu i dacie, w której się miał odbyć. Żandarm Bialski otrzymał zawiadomienie dnia 23-go grudnia, t. j. drugiego dnia, już po odbytych zjeździe; więc domyśliwszy się i skombinowawszy, że zjazd może być tylko u biskupa, a więc w Janowie Podlaskim, zebrał swoich podkomendnych i sotnię kozaków i 24-go grudnia pojechał do Janowa, otoczył gmach kościelny — a że był wieczór — zastał salę rzęsiście oświetloną i siedzących przy stole: biskupa, wszystkich księży i całe seminarium. Była to właśnie wilia. Miało nastąpić już aresztowanie zebranych i dopiero po wytłómaczeniu żandarmowi powodu zebrania, zamiaru w czyn nie wprowadzono.

III.

Ludzie byli, szło o to, by była i broń. Nakazano przygotować kosy, z uwagi na tradycję ko-

synierów Głowackiego, tylko że obecnie owe kosy miały do czynienia ze sztucercami, na dwa tysiące kroków bijącemi. Broni palnej w Podlaskiem nie było! Dla zaradzenia temu, komisarz województwa płockiego, Edward Rulikowski, zebrawszy trochę pieniędzy, pojechał do Liége, do Belgii, i tam, w pewnej fabryce, zamówił 15 tysięcy karabinów. Dawszy zadatek, zobowiązał się resztę należności zapłacić na 1-go stycznia 1863 r. w Paryżu; fabryka zaś, zobowiązała się dostawić ową broń do granicy Królestwa. By nie stracić zadatku i broni, Komitet Centralny, choć z wysiłkiem, resztę należności posłał przez Franc. Godlewskiego, który pojechawszy do Paryża, zatrzymał się w hotelu Corneille, gdzie podówczas wielu Polaków mieszkało, między innymi J. Ćwierczakiewicz i Włodz. Milowicz, a że policya francuska nas szpiegowała i Rosyi dopomagała, nastąpiło otoczenie hotelu i aresztowanie Polaków, przyczem zabrano im pieniądze i papiery. Tym to sposobem dowiedziano się o warszawskim adresie drukarni „Ruchu“, przy ulicy Widok.

Aresztowania te i zabór pieniędzy nie mały wyłom w pracach przygotowawczych do powstania uczyniły. Zwołano nas wszystkich komisarzy wojewódzkich do Warszawy. Przyjechał z Kijowa przedstawiciel młodzieży i stronnictwa ruchu, Juriewicz, (dla którego później zrobiono ów głośny podkop w fortecy kijowskiej, 27 sążni długi, przechodzący przez dwie niezwyklej grubości ściany, którym się

wydostał na wolność i umarł w lat kilka później w Szwajcaryi).

Na owem to zebraniu walnem komisarzy i członków Komitetu Centralnego, do którego należeli: Zygmunt Padlewski, naczelnik miasta Warszawy, — Oskar Awejde, minister spraw wewnętrznych, — Stefan Bobrowski (poległ następnie w pojedynku z Grabowskim, z Galicyi), — Agaton Giller i inni, postanowiono; przygotować się do powstania, które, nie wcześniej jak z wiosną wybuchnie, z uwagi, że Litwa i Ruś wcześniej gotowemi nie będą. Uchwała ta zapadła dnia 11-go stycznia 1863 r. Z uwagi na szerzące się o brance do wojska pogłoski, postanowiono popisowych ukryć, przez przeniesienie ich z jednego powiatu do drugiego. W tym celu, ja, jako komisarz podlaski, otrzymałem 3000 blankietów na paszporty i z takim poleceniem wyjechałem z Warszawy. Zaczęto tymczasem młodzież usuwać z Warszawy, głównie w Płockie. Popisowi zebrali się w kampinowskiej puszczy, lecz większość nie zdążyła wyjść z miasta i uległa brance. Wtedy to Zygmunt Padlewski, widząc, że szyki organizacyi powstańczej popsuto i odebrawszy jednocześnie wiadomość, że w fortecy Modlinie spiskowcy oczekują hasła przyłączenia się do ruchu, przeprowadził w komitecie, w którym swą przewagą i inteligencyą górował, uchwałę, wyznaczającą dzień powstania na 22-go stycznia 1863 r.

O Zygmuncie Padlewskim, jak dotąd, niewiele

wzmiankowano, a jednak był to człowiek, który nakazał, by Polska powstała dnia 22-go stycznia i — woli jego stało się zadość... Nie jest mojem zadaniem wdawać się w rozbiór krytyczny tej uchwały i przeciwstawić jej — nieszczęsne następstwa, jakie wywołała. Pragnę jedynie dać w tem miejscu wyraz bezgranicznej czci. dla pamięci człowieka szlachetnego, który, miłość swą dla kraju i gotowość do wszelkich dla niego poświęceń męczeńską przyplacił śmiercią. Pragnę złożyć jedynie szczerą hołd jego szlachetnej duszy, jego wierze w przyszłość kraju i w te ideały, którym za krótkiego swego holdował żywota. Pożądał on tylko wyzwolenia swego kraju, zrzucenia zeń pęt niewoli, w których od wieku szarpie się i szamocze. Gdzieindziej takim apostołem wolności i miłości kraju, okupionej życiem, stawiają pomniki śpiżowe. Pamięć ich, jak święta legenda, przechodzi z pokolenia na pokolenie... U nas — wiele już znaczy, jeżeli błotem na mogiłę takich męczenników swobody nie miotają! Zygmuncie! druhu mój serdeczny, z którym niejedną spędziłem chwilę, marząc o wolnej i niezawisłej Polsce! Niechaj te słowa będą napisane na twoim zapomnianym, nie wiadomo nawet gdzie wykopanym, grobie, niechaj zaświadczą dzieciom naszym, żeś legł pod kulami nieprzyjaciela, ze słowami: „Jeszcze Polska nie zginęła!”

Zygmunt Padlewski, rodem z Ukrainy, powiatu Berdyczowskiego, ze wsi Czerniawka, był synem

Władysława, szlachcica starego autoramentu, który, gdy wybuchło powstanie, siadł na koń, jako dowódzca utworzonego przez się oddziału, i wzięty w niewolę rozstrzelany został niezadługo po zgonie syna. Pozostawił żonę, dwie córki i syna młodszego, Romana.

Jedna z córek wyszła za mąż za Michała Podhorskiego. Gdy Aleksander II. był w Kijowie, rzuciła mu się do nóg, błagając, by synów jej pozwolił przyjąć do korpusu paziów....

IV.

Roskaz porwania za oręż odebrałem w Białej dnia 17-go stycznia 1863 r. Pomimo papieru, jaki się dostał do rąk moich, i umówionych na nim znaków, którym uwierzyć musiałem, nie ufałem oczom własnym, iżby taki rozkaz danym był na seryo...

Poleciałem do Warszawy, gdzie zastałem jeszcze Padlewskiego.

— Co czynisz? — zapytałem. Czyż nie rozumiesz, że nas rozbiją w puch, że nie mamy ani sił, ani oręża! Czyż nie wykladałeś nam w Cuneo, że tylko żołnierz z dobrą bronią zwycięża?

— Stało się! — rzekł mi na to Padlewski. — Spiesz z powrotem. Jeśli Bóg da, zwyciężymy. Nie podobna, by Europa pozwoliła nam zginąć!

Bywaj zdrów! Być może, że ostatni raz się już widzimy, lecz pamiętaj, cośmy przysięgli, iż nie cofniemy się...

Uścisnęliśmy się. Zygmunt siadł na bryczkę, a z nim adjutant jego, oficer artylerii rosyjskiej, Sejfried.

Pobiegłem jeszcze do Awejdy.

— Czemuś się zgodził? — spytałem.

— Zygmunt przegłosował nas. Wiem, że to wcześniej, ale kość rzucona; jeśli upadniemy — spotkamy się na rusztowaniu, lecz iść trzeba, nie ma czasu na rozprawy... (Ten to Awejda uląkł się stryczka i zdradziwszy sprawę, opisał historię organizacyi, za co darowano mu życie. Zesłany do Wiatki, żyje tam obecnie jeszcze, jako obrońca przy sądach).

Pożegnawszy się z Awejdą, pobiegłem na pocztę, by zamówić konie. Tu spotkałem Leona Frankowskiego, — największego z pośród nas entuzjastę. Rzucił mi się na szyję z okrzykiem:

— Więc jedziemy bić się za kraj!

— Ba — odrzekłem — bić nie sztuka, ale czem?

— Czapkami ich zarzucimy! — zawołał. Całe Lubelskie jak jeden mąż powstanie. Jadę tam! Bywaj zdrów!

I rozbiegliśmy się. Ja, by jeszcze pożegnać się z rodzicami i siostrą, tak jak się żegna jedynak z najdroższym na świecie skarbem.

Pobłogosławili mnie, jam ich za nogi uścisnął, siadłem na brykę i pojechałem w Podlaskie.

Nocą stanąłem w Siedleach. Zastałem tam Lewandowskiego, oficera z kampanii węgierskiej, emigranta. Był on wyznaczony w stopniu podpułkownika na dowódcę województwa podlaskiego. Prócz niego spotkałem się tam z kolegą moim z Cuneo, Wł. Jabłonowskim, studentem uniwersytetu kijowskiego. Osadziłem go w Sokołowie, by tam młodzież organizował wojskowo. Czasu było tak mało, żeśmy zaledwie ogólnikowo mogli się porozumieć, co do dalszego trybu działania. Z narady wypadło, że Lewandowski miał uderzyć na Siedlce, do czego mieli służyć ludzie w mieście zorganizowani, ludzie z Sokołowa i Węgrowa, pod dowództwem Wł. Jabłonowskiego, — z pod Siedlec, ze wsi okolicznych, z Matlińskim na czele, a także część szlachty zaściankowej, z okręgu Łosickiego, pod wodzą Czarrowskiego. Wszystkich powstańców, gdyby się byli stawili na czas, winno było być około dwóch tysięcy, uzbrojonych w kosy i nieco w broń myśliwską.

Tak załatwiwszy się z Lewandowskim, pozostawiłem go dalszemu losowi, a sam pospieszyłem do Łukowa, by zakomunikować księdzu Brzosce o uchwalonem powstaniu. Brzosko miał ludzi w organizacyi dosyć, lecz trudno było mu zebrać ich na godzinę oznaczoną. Miał on w nocy uderzyć na miasto, licząc na współdziałanie kilkudziesięciu

sięciu żołnierzy Polaków, zorganizowanych w szeregach wojska rosyjskiego.

Do Deskura posłałem rozkaz, by uderzył na Radzyń, z ludźmi, jakich zdoła zebrać, sam zaś wróciłem spiesźnie do Białej. Na ten punkt najwięcej liczyłem, gdyż przez parę miesięcy mego pobytu tamże, udało mi się wszystkich mieszczan wciągnąć do organizacji; w powiecie zaś, oprócz oficyalistów i służby dworskiej, wszystkie zaścianki szlachty były złączone, tak, że można powiedzieć, iż nie było jednego w owej gromadzie, któryby duszą całą nie należał do organizacji.

W Białej powinienem był zastać oficera od saperów, Mrocza, jako dowódcę powiatu białskiego, lecz rachuby moje nie sprawdziły się. Na skutek przesłanego przez naszych z Petersburga żądania, Komitet Centralny wysłał nagle Mrocza do Kazania, gdzie spodziewał się wywołać dywersję, przez rozniecanie ruchów nad Wołgą. Mroczek w rzeczy samej pojechał, lecz okazało się, że tam w Kazaniu zebrało się wszystkich rewolucjonistów ośmnastu, przez których zaczęto ogłaszać złote h r a m o t y. Ujęto ich wszystkich i Mroczka z trzema spiskowcami rozstrzelano w Kazaniu.

V.

Musiałem przeto radzić sobie na własną rękę. Z chwilą powstania, zadaniem mojem było: two-

rzyć oddziały, gromadzić je i posyłać tam, gdzieby wymagała potrzeba. Celem naszym było opanowanie dwóch linii: warszawskiej i brzesko-litewskiej i warszawsko-lubelskiej w kierunku Uściługa, Wołynia i Rusi. Gdyby się nie udało odrazu utrzymać na której z tych linii, mieliśmy przerzucić się za Bug, by powstanie rozniecić na przestrzeni jak najrozleglejszej, a tem samem i rozdrobnić siły nieprzyjacielskie. W organizacji naszej w Białej mieli udział dwaj oficerowie w rosyjskiej służbie: dowódca baterii, Suchodolski i adjutant jego, Zalewski. Oprócz tego było szesnastu kanonierów — Polaków w owej baterii i kilku żołnierzy z piechoty. Siły rosyjskie w Białej składały się: z baterii artylerii, z dowódcą Suchodolskim i adjutantem Zalewskim, rotę piechoty (250 ludzi), rotę inwalidów (200 ludzi), sotni kozaków i żandarmów, wszystkich 800 ludzi, dowodzonych przez gen. Mamajewa. W powiecie zaś rozlokowani byli: w Łomazach szwadron ułanów, w Kodniu, nad Bugiem, pułk artylerii, 400 ludzi, uzbrojonych w karabiny, — w Międzyrzeczu dwa szwadrony ułanów, z pułkownikiem. Czwarty szwadron stał w Siedleach.

Liczyłem bardzo na powiat białski. Był on bodaj że najlepiej zorganizowany, przynajmniej w województwie podlaskim. Brakło mu broni palnej, lecz kos miał podostatkiem i amunicji, dostarczonej przez żołnierzy z Brześcia, za pośrednictwem

żydków. Było na liście trzy tysiące ludzi, którzy winni byli się stawić na pierwsze wezwanie.

Rozporządziłem się następującym sposobem: W Międzyrzeczu naczelnikiem miasta był syn urzędnika tamecznego, Krysiński, energiczny, dzielny młodzieniec. Pod jego to dowództwem mieszczanie powinni byli uderzyć na koszary ułanów, spalić je i zabrać, co się da. Oprócz ludzi z miasta, miał przybyć na pomoc zaścianek Bojarów (wielu zapewne nie wie, żeśmy ich mieli w kraju), a miało ich być z górą stu ludzi. Po zdobyciu winien był Krysiński podążyć do głównego obozu w Białej. (Ten sam Krysiński był następnie oddzielnym dowódcą po powrocie z Litwy z oddziałem Lewandowskiego i wslawił się wieloma bitwami w powstaniu).

Do Kodnia przeznaczyłem Neckiego, rządzcę z kodeńskiego, majątku Krasińskich, byłego żołnierza z batalionów Oremburgskich, gdzie się dosłużył stopnia podoficera. Do napadu służyć mieli ludzie kodeńscy i dwa zaścianki: Tuczna i Wizki, 250 żołnierzy liczące.

Do Łomaz naznaczyłem kolegę mego Czapińskiego, rodem z Białej, ze szlachtą z zaścianku Huszczy, 250 ludzi, i z mieszczaństwem z Łomaz. Głównie na czele tego oddziału stał ks. proboszcz owych zaścianków, Nawrocki, ekskapelan II. pułku ułanów z r. 1830, dzielny i prawy jako kapłan,

żołnierz i obywatel kraju. Zesłany na Syberję, umarł następnie w Rosyi.

Na pierwszą noc pozostałem sam w Białej. Oprócz mieszczan powinien był przybyć zaścianek z pod Łosic, do którego wysłałem Baltazara Wolanina, nauczyciela powiatowej szkoły białskiej, a od Janowa Podlaskiego powinno było przybyć około 400 powstańców, pod wodzą X. Rozwadowskiego, proboszcza z Niemirowa nad Bugiem; wreszcie, od Zalesia, około stu ludzi, z Kaźmierzem Bogusławskim. Mogłem tym sposobem liczyć na posiłek 800 ludzi, oprócz tych, którzy się w mieście znajdowali.

Zanim miałem czas wydać powyższe rozporządzenia, nastąpił pamiętny dzień 22-go stycznia... Należało ludzi w mieście zawiadomić, że to dziś w nocy, o godz. 12-tej, powinniśmy uderzyć na rosyjskie wojska. Dwudziestu ze mną miało wtargnąć do mieszkania Mamajewa i inni, stosownie do rozlokowanego wojska i do siły rozporządzalnej — na baterję, stojącą na krańcu miasta, część na sotnię kozaków, w oddzielnych koszarach konstujących, — inni na piechotę. Liczyłem na popłoch, jaki wywołamy tym niespodziewanym napadem. Prócz tego, Suchodolski i Zalewski zobowiązali się w razie alarmu nie opuścić swoich kwater, kanonierzy zaś, należący do organizacyi, mieli wystraszyć strzałami konie, by ich trudno było użyć artylerzystom. Nie byłem przeto pozbawiony widoków powodzenia...

lecz widocznie inaczej było zapisane w księdze wyroków Opatrzności...

VI.

Gdym objawił mieszczanom, że nadszedł dzień powstania, rzucili się do kościoła, by wyjednać sobie błogosławieństwo i rozgrzeszenie. Nie było to tchórzostwo, lecz prawdziwie chrześcijańskie uczucie. Księża Reformaci przestraszyli się i na spowiedzi nie chcieli dać rozgrzeszenia, odmawiając ich od fatalnego kroku i mordowania bliźnich. Dano mi o tem znać. Można sobie wyobrazić, w jakie mnie to wprawilo rozdrażnienie. Wpadłem do kościoła, za mną tłum ludzi. Widzę, że księża rozprawiają, nie dają się przebłagać... W uniesieniu zapowiedziałem, że ich żywcem spalę, jeżeli rozgrzeszenia odmawiać będą. Księża ustąpili i rozpoczęła się spowiedź, lecz dla sprawy fatalne to miało następstwo, gdyż, z 200 ludzi, zaledwie 80 wieczorem znalazło się na probostwie.

Suchodolski i Zalewski, gdy u nich wieczorem byłem, dla ostatecznego porozumienia się i zapowiedziałem, że nad ranem dowództwo obejmuje Suchodolski — stchórz yli i po mojem odejściu popiechali do Mamajewa, z zawiadomieniem, że za parę godzin wybuch nastąpi, że należy wyprowadzić armaty na rynek i zebrać wojsko...

Godzina dziesiąta rano... Alarm... Trąbki grać

zaczynają, zbierają wojska na rynku, rozkładają ogień, a ja, z ośmdziesięcioma ludźmi na skraju tego rynku, na probostwie, czekam posiłków z zewnątrz, jakie o godz. 12-tej winny były nadciągnąć.

Na alarm zbiegli się do mnie wszyscy kanonierzy. Ci nie zdradzili i przystali do nas... Wtedy spostrzegłem, że choć kos na probostwie było dosyć, jednak broni palnej mieliśmy wszystkiego jedenaście sztuk: siedm dubeltówek i cztery pojedynki. Ja jeden miałem rewolwer belgijski i sztylet...

Sily nasze były nierówne, bym się odważył uderzyć na rynek... Czekam więc do 12-tej na posiłki, lecz 12-ta wybiła, a nikt się nie zjawił. Spóźnili się — myślę — cóż dziwnego? Toć to nie żołnierz, znający komendę. Ten i ów chciał się pożegnać z rodziną — może na zawsze... Lecz i po ludnie przeszło, a posiłków jak niema, tak niema. Wysyłam więc trzy ekstrapoczty z rozkazami. Wojska na rynku przepuszczają je... Roskazałem, by oddziały pośpieszyły i skierowały się z Janowa do Białej. Tam miałem zamiar je spotkać, jeśli mi się uda wyjść z miasta. Przeczekałem jeszcze do godziny pierwszej, — bezskutecznie. Trzeba było więc coś stanowczego przedsięwziąć. Licząc na popłoch między wojskiem rosyjskiem, jaki powstanie, gdy nas zobaczą, wyciągnąłem linię moich kosynierów i jednego kanoniera ustawiłem na brzegu z kosą i zawołałem: „Przewódź! Pójdziemy przez rynek, nie zaczepiając wojska. Zaczem się opamiętają,

przejdziemy miasto w kierunku Janowa i tam spotkamy swoich, z którymi, jeśli będzie można wrócimy do miasta“.

Sam zaś, mając za sobą jedenastu strzelców i wnosząc rewolwer w górę, zawołałem: „Bez mego rozkazu ani jednego strzału... Bracia! Naprzód! W imię Boże!“

Tak wyszliśmy na rynek... Stał tam gen. Mamajew z całą swoją, dziesięć razy większą, siłą, z ośmiu armatami, 400 karabinami i stu lancami!!

Przechodzimy o 30 kroków zdala przed frontem wojsk rosyjskich — gluche milczenie, słychać tylko odgłos naszych kroków miarowych. Tak przeszliśmy ulicę Janowską, do skraju miasta...

Wtedy dopiero Mamajew, straciwszy nas z oczu, opamiętał się i wysłał za nami kozaków, którzy z gikiem swym rzucili się na nas, lecz już byliśmy siebie pewni. Jedno: stój! na cel! i kozacy poszli w rozsypkę. Znowu: naprzód chłopcy! Nie strzelać, bo szkoda prochu! I znów poszliśmy dalej... Tak nas kozactwo przeprowadziło 5 wiorst po drodze Janowskiej do wsi Rozkoszy, nie robiwszy nam strzałami szkody. Tu spotkałem oba oddziały: Rozwadowskiego z Janowa i Wołanina z pod Łosic, ludzi ze trzystu razem. Rozbijamy tu obóz — rozpalamy ogień, roztawiamy czaty i czekamy dnia białego, by oddział jako tako uporządkować. Wojska rosyjskie za nami nie poszły, tak,

że mogliśmy do rana pozostać w Rozkoszy. Ztąd przeszedłem na szosę, z Białej do Brześcia idącej, ku Zalesiu, chcąc się spotkać z Kazimierzem Bogusławskim, by się dowiedzieć, co się na innych punktach zrobiło. Gdyśmy stanęli na szosie pod Zalesiem, postanowiłem zburzyć most rzucony przez rzekę Krznę i przez błota, by utrudnić Rosyanom komunikację między Brześciem a Białą. Tu ledwieśmy się zatrzymali, nadjechał z Brześcia powóz pocztowy. Siedział w nim naczelnik biura namiestnika królestwa, Czerkasów. Był to pierwszy Rosyanin, co wpadł w nasze ręce... Byłem pod wrażeniem rozdrażnienia, z nieudanego początku powstania. Na zapytanie: kto jest? kłamię, zasłaniając się nazwiskiem Wiszniewskiego. Ręka mi zadrzęła. Mimo woli chwyciłem za rewolwer, wypaliłem, i — Czerkasów padł. Zarzucono mi, że tak uczynił sam, a nie kazałem go rozstrzelać... Na to mam jedyną odpowiedź, że miałem lat 21 i byłem żądny krwi nieprzyjacielskiej... Czerkasów wiozł ważne papiery do Warszawy, rozkazy i rozporządzenia co do całej branki, gdzie i jak miano rozlokować rekrutów, których ogólna liczba określona była na 25 tysięcy...

Trupa Czerkasowa, wraz z zabranymi przy nim papierami, tymże powozem odesłałem do Warszawy.

VII.

Rozłożywszy się obozem pod Zalesiem, pozostawiłem naszych pod dowództwem Wolanina, a sam w kilkanaście koni udałem się do zaścianków: Tuczna, Wiski i Huszczę, by się dowiedzieć, co się tam zrobiło i by ztamtąd zabrać ludzi. Przybyłem do Tuczny, gdzie zastałem Neckiego, który w nocy uderzył na Kodeń. Rosyane byli nieprzygotowani. Wystrzałem z pistoletu powalił żołnierza na odwachu i uderzył w bęben na alarm. Szlachta rzuciła się z kosą na postój i zdobyła odwach. Rosyane rozbiegli się ze swym komendantem, tak, iż Necki, zdobywszy Kodeń, zabrał ze 300 karabinów, wprawdzie starych, przerobionych ze skałkowych, lecz zawsze — z bagnietami! Więc była już i broń palna, mnóstwo gotowych ładunków i pistoletów, co było najważniejszym, wziął przytem do niewoli 80 żołnierzy, których przeprowadził do Tuczny. Radość moja była wielką, gdyż to mogło dodać nowej otuchy naszym. Zebrawszy szlachtę, rozkazałem jej gotować się do wymarszu, i sam pojechałem do Huszczę, głównego zaścianka, który miał za zadanie uderzyć na Łomazy. Wiedziałem już, że i tam się choć w części udało. Huszczę — jest to długi na parę wiorst zaścianek, po jednej jego stronie stoją domy mieszkalne po drugiej zabudowania gospodarcze.

Gdym wjechał do zaścianka, przedstawił mi się widok następujący: Przy każdym domu, stosownie do tego, ilu ludzi zeń szło do powstania, stały kosy oparte o ściany domu. Była to ulica kos! Przebiegłem całą długość Huszczę do kościoła i probostwa, a za mną wszyscy, porwawszy za kosy, podążyli. Na probostwie zastałem trochę ludzi, mieszczan z Łomaz: Czapińskiego i Szaniawskiego, obywatela z Krasówki, który, na hasło powstania, zebrał czeladź dworską i ruszył ze szlachtą na Łomazy. Sam energiczny, odważny i rzutki — mimo lat 50 — był duszą napadu na Łomazy, wraz z księdzem Nawrockim. Rosyane i tu nieprzygotowani, niezdążyli osiedlać koni, a kiedy nasi z kosami rzucili się na nich, uciekli do Międzyrzecza, pozostawiwszy w rękach naszych wachmistrza, trzech żołnierzy, siodeł na 70 koni, pałaszy i lanc mnóstwo.

Tak więc szlachta nasza dzielnie się owej nocy spisała. Gdyby była broń i choć setny między nią obeznany z taktyką wojenną, by owe masy odrazu zorganizować, to — mówię to po latach przeszło 30, gdy już zapał minał i chłodno człowiek na przeszłość spogląda — wierzę silnie, że bylibyśmy górą! Był taki między nami poryw, a takie jakieś nieokreślone między Rosyanami osłupienie, że przewaga była po stronie naszej. Brak broni wszystko zniweczył... Dziś, gdy patrzę w przeszłość i przypominam sobie ów zastęp, co poszedł za mną z trzech zaścianków, z kosami tylko w rękę, prze-

ciw armatom i sztucерom, zostawiwszy żony, starców i dziatki w domu, bez opieki, — Iza mimowoli nabiega mi do oczu, jako wyraz czci dla owych ludzi, którzy z miłości dla kraju gotowi byli zdobyć się na najwyższe poświęcenie. Byli to nieodrodni bracia owych Maćków Dobrzyńskich z Pana Tadeusza... Naród, co takich posiada synów, — nie zginie nigdy!

VIII.

Zebrawszy tedy owe zaścianki, powiodłem je do oddziału pod Zalesiem pozostawionego. Tu zastałem kolegę mego z Cuneo, Adama Radowickiego, z Grodzieńskiego, Walerego Goliana, emigranta, (brata zmarłego kanonika Zygmunta Goliana), podoficera z legionów algierskich, a z tym niejakiego Pawłowicza, młodego oficera armii rosyjskiej, tylko co ze szkoły artylerji wypuszczonego. Obaj jechali do Kijowa z Warszawy i obaj przyłączyli się do oddziału. Radowickiego zamianowałem dowódcą kawaleryi, Goliana naczelnikiem sztabu, Pawłowicza swoim adjutantem, Szaniawskiego dowódcą wszystkich strzelców, z tytułem pułkownika, Wolanina kapitanem batalionu strzelców, Neckiego dowódcą kosynierów. Drugim przy mnie adjutantem był Stasiakiewicz, eks-kleryk z Janowa; prócz tego zamianowałem kilkunastu oficerów, podoficerów, jak np. Bogusławskiego, Żukowskiego i wielu in-

nych, których nazwisk już dziś nie mogę sobie przypomnieć.

Odebrałem wtedy właśnie od Rządu narodowego akt uwłaszczenia chłopów, z manifestem, ogłaszającym, że kto dobrowolnie przystąpi do powstania, otrzyma na własność wieczystą pięć mórg gruntu. Przesłano mi również odezwę do narodu wzywającą do powstania, napisaną przez Gillera.

Uporządkowawszy oddział, o ile to było możebnem, ruszyłem do Janowa Podlaskiego (Księżego), by się zaopatrzyć w konie, które postanowiłem zabrać z tamecznej stajni rządowej, a zarazem, by przystąpić do umundurowania i wymustrowania naszych szeregów. W Janowie przebyłem dni trzy. Oddział nasz wzrósł do tysiąca ludzi i wtedy postanowiłem ruszyć na Białę, by ją zdobyć. Chciałem ze sobą powieźć biskupa Benjamina z Janowa, eks-kapucyna, lecz udął chorobę i odmówił. Siłą go powlec nie chciałem, a szło mi głównie o wywarcie wrażenia na lud. W drodze dowiedziałem się, że Mamajew tegoż dnia wyszedł z wojskiem do Siedlec, zająłem więc Białę bez boju. Był to wieczór, miasto oświetlone, wszyscy mieszkańcy na ulicach, odwach zajęty przez żydów, którzy urządzili straż miejską, przypięwszy do czapek narodowe oznaki. Radość była wielka... Tak przeszła noc. Rano odbyło się nabożeństwo. Deputacje żydowskie zaprosiły mnie do synagogi, gdzie żydzi składali przysięgę Rządowi narodowemu. Pod-

czas modlitwy trzymałem rękę na rodalach, a żydzi, modląc się, wykrzykiwali kilkakrotnie moje nazwisko. Potem było nabożeństwo w kościele, gdzie X. Mleczek poświęcał sztandary nasze. Wezwałem następnie właścicieli ziemskich, by przybyli dla wyboru Rządu narodowego, według udzielonej mi instrukcyi. W zarządzie powiatowym mieli zasiadać: jeden włościanin, jeden żyd, jeden mieszczanin, jeden ksiądz i trzech właścicieli ziemskich-szlachty, razem siedmiu członków. Istotnie zjechało się dosyć. Był Buchowiecki, luminarz powiatowy, lecz nie zjawił się Stanisław Alexandrowicz. Zamiast wybrać znaczniejszych obywateli, właścicieli ziemskich, zebrani wybrali przeważnie oficyalistów swoich, o których już wiedzieli, że do ruchu należą. Gdym zaczął im wyrzucać takie tchórzostwo, iż chcą się zasłonić drugimi, jeden z pomiędzy nich, Łojko, z pod Piszczac, odezwał się:

— Wybierajcie sami z pomiędzy siebie. My do partyi ruchu nie należymy i powstanie nic nas nie obchodzi!

Krok taki smutne dla Łojki mógł spowodować następstwa. Już miałem dać rozkaz Radowickiemu, by Łojkę aresztować, gdy w tej chwili odebrałem zawiadomienie, że Rosyanie pod dowództwem generała Nostitza; w siedm rot piechoty, z jedną rotą saperów, dwiema armatami i sotnią kozaków, wyszli z Brześcia i nad wieczorem staną w Białej. W przewidywaniu bitwy odłożyłem postanowienie

co do Łojki, do następnego dnia i zebranie rozpuściłem. Tak przeszło kilka godzin. Nad wieczorem pojawili się Rosyanie i rozlokowali się obozem na szosie, o trzy wiorsty od Białej, w karczmie, zwanej Białką: jedną zaś rotę piechoty i rotę saperów postawił gen. Nostitz u mostu, na Krznie, by go poprawić. Widząc, że nieprzyjaciel zamierza nocować i dopiero następnego dnia uderzyć na nas, postanowiłem go uprzedzić, rozumiejąc, że lepiej ten na tem wychodzi, kto napada, niż ten, co się broni. Tak też zrobiłem. Zostawiwszy obóz w mieście, wyszedłem z oddziałem na Nostitza, o godz. 10 wieczorem. Mogłem iść albo wprost po szosie, aż do karczmy, w której stał przeciwnik, i przejść lasek, który go zasłaniał, lub też iść po drodze prowadzącej do Woskrzenic. Wybrałem tę drugą. Nieprzyjaciel był rozlokowany na polanie, wprost karczmy, otoczonej niewielkim lasem. Idąc równolegle, byliśmy od niego oddzieleni drobnymi krzakami. Gdyśmy podeszli i znaleźli się na jednej linii z nim, ujrzeliśmy rozłożone ognie nieprzyjacielskie. Wtedy obróciwszy front nasz przeciw nieprzyjacielowi, rozdzieliłem swoich w taki sposób: lewe nasze skrzydło, pod dowództwem Szaniawskiego, a przy nim Czapińskiego, ludzi 230, nazaczyłem, by wyruszyło i zajęło szosę, między Białką, a mostem, dla przecięcia komunikacyi między głównym obozem przeciwników a saperami i piechotą, zajętymi naprawą mostu. Z prawego skrzydła oddzieliłem

pięćdziesięciu strzelców, pod dowództwem Bogusławskiego, aby idąc równo z nami ku nieprzyjacielowi, odkryli fałszywy ogień od strony Białej i podeszli do przeciwnika lasem. Tym sposobem sądziłem, że główną uwagę nieprzyjaciela zwrócić na Białą; ja zaś, w tę porę, z całą resztą oddziału miałem uderzyć na nieprzyjaciela z boku.

IX.

Strzelcami idącymi na przedzie dowodził Wolanin; kosynierów prowadził Necki, kawaleryę w 80 koni Radowicki; przy mnie byli Golian i Pawłowicz. Zbliżamy się do nieprzyjaciela. Już go widzimy przy rozpalonych ogniach. Bogusławski, wyprzedzwszy nas na 300 do 400 kroków, odkrył ogień. Nieprzyjaciel, jak oparzony, zaczął gasić ogień i strzelać do lasu, na oślep. Pospieszamy naprzód. Wolanin ze strzelcami zajmuje rów szosowy naprzeciw polanki i rozpoczyna atak. Necki z kosynierami zdobywa karczmę, z której wyparowywa nieprzyjaciela, bierze dwóch oficerów do niewoli, kilkunastu żołnierzy rani i zabija. Nieprzyjaciel cofa się do polanki. Trzeba było kosynierom przejść przez tę ostatnią, by wyparować ztamtąd wroga, a wtedy bitwa byłaby wygraną... Idą naprzód. Wprost nich stoją dwie armaty. Nieprzyjaciel daje ognia kartaczami. Pada kilkunastu i szlachta krzy-

ząc „hura!“ cofa się ze szosy. Necki zbiera rozpierchłych, porządkuje i znowu rusza na szosę. Tu znowu strzał kartaczami, znowu kilku pada, a reszta się cofa. Brakło podoficerów, którzyby zrozumieli, że armaty straszne tylko — przed strzałem. Po wystrzale brać je można z łatwością. Widząc, że kosynierzy nie poradzą, zwracam się do Radowickiego.

— Adamie! — wołam — musimy wziąć te armaty, bo bitwę przegramy.

Mogliśmy tylko przejść pomiędzy karczmą a stodołą obok stojącą. Po bokach — ogrody i ogrodzenia, tak, że rozwiniętym szeregiem iść nie było można; a tu nadomiar ciemno. Formuję szóstki i ruszamy z kopyta. W pierwszej szóstce Radowicki, ja, Pawłowicz i trzech żołnierzy. Wypadamy na szosę. Tu spotkał nas strzał armatni. Kartacz zabija mi konia. Ja padam, choć nie raniony, lecz koń przyniósł mi nogę. Nim się wydobyłem, pada strzał drugi — zamieszanie. Radowicki, w przekonaniu, że ja zabity, cofa się, żołnierze za nim. Jeden z żołnierzy, spostrzegłszy mnie na nogach, podaje mi konia. Siadam na niego, lecz już chwila była stracona, tem więcej, że i po oddziale rozeszła się wieść, że ja zabity. Necki cofa się z kosynierami. Dostał widocznie jakiegoś obłędu, gdyż wśród zamieszania ucieka z pola bitwy i odtąd go już więcej nie ujrzałem. (Wiem, że następnie poległ w jednej z bitew w Lubelskiem).

lecz także cofa się, strzelając ciągle. Zbieram oddział tuż pod Białką; chciałem raz jeszcze powtórzyć atak, lecz było to trudno, z powodu zamętu. Nadomiar złego, dano mi znać, że nieprzyjacielowi przyszły w pomoc posiłki od mostu. Spotkał je Szaniawski, lecz zbyt słabo atakował i pozwolił im spełnić zadanie, tak, że siły gen. Nostitza na polance znacznie się powiększyły, a nasze się rozpierchły.

Postanowiłem więc wrócić do Biały, do miasta, by tam na nowo się zorganizować. Nostitz za mną nie poszedł i czekał dnia. Ja, wróciwszy do miasta, oprócz przyprowadzenia mego oddziału do nowego porządku, musiałem mieć na oku gen. Nostitza. Była już godz. 12 w południe, a on się nie zjawił, gdyż, jak się dowiedziałem, czekał na posiłki z Brześcia.

Tymczasem Szaniawski nie wrócił. Ja, widząc, że trudno będzie z oddziałem moim utrzymać się w Biały, zabrałem, co tylko było można, z pozostałości po artylerji, ładunków, mąki i owsa i wyruszyłem do Janowa, w przewidywaniu, że tam spotkam Szaniawskiego, co też istotnie nastąpiło, nazajutrz po wejściu do Janowa. Jako trofea bitwy pozostali nam dwaj oficerowie, wzięci w karczmie przez kosynierów. Zajął Białę po odejściu naszym gen. Nostitz i tam pochował 140 zabitych żołnierzy i dwóch oficerów. Czynność tę musieli spełnić XX.

Bazylianie, których kościół z ciałem św. Józafata biskupa znajdował się w Biały.

W Janowie byłem znowu dni kilka, ucząc żołnierzy i szyjąc mundury dla strzelców. Kawalerya moja zwiększyła się z górą o sto koni. Żołnierz to był wcale nie zły. Miałem czterdziestu masztalerzy ze stajni Janowskiej, którzy doskonałymi byli jeźdźcami; dalej, z furmanów i młodzieży dobry oddziałik się sformował, a i Radowski był to bardzo odważny, dający wszystkim dobry przykład, jeździec. W Janowie odebrałem wiadomość o bitwie, choć nie wygranej, lecz bohaterskiej, stoczonej pod Węgrowem, pod wodzą Wład. Jabłonowskiego (przypisują ją mylnie Jankowi Sokołowi Matlińskiemu), który choć był uczestnikiem owej bitwy, lecz dowódcą w niej nie był). Dowiedziałem się również, że po bitwie węgrowskiej oddział przerzucił się za Bug, ku Drohiczynowi i że za Bugiem zbierają się znaczne oddziały.

Ponieważ miałem rozporządzenie Komitetu centralnego, by w razie nie utrzymania się na linii warszawsko-brzeskiej przejść za Bug i tam rozniecić powstanie, postanowiłem przeprowić się za Bug.

Zbieram więc oddział, zabieram srebro z Janowa, wartości kilku tysięcy rubli, i, w chwili gdy obóz nasz wyszedł z miasta ku Niemirowu, dowiedziałem się od podjazdu wysłanego do Biały, że gen. Nostitz dąży w kierunku Janowa. Cofając się ku Bugowi byliśmy każdej chwili gotowi do bitwy.

Do Niemirowa było 7 wiorst. Wojska Nostitza przeszły Janów i podążyły za nami. Kozacy mieli za zadanie utrudnić nam pochód. Gen. Nostitz chciał widocznie spotkać się z nami na polu i tam stoczyć bitwę, ja zaś dążyłem ku Bugowi. Odstrzeliwając się kozakom, doszliśmy do Niemirowa. Jestto wieś rozłożona po obu stronach Bugu. znana jako punkt graniczny trzech państw rozbiorowych. Brzeg Bugu dosyć stromy, zarosły łożyną, — przed wsią kilka wzgórz. Na brzegu był jeden prom. Obóz zaczął się przeprowiać, a że miałem sto wozów, bo kos wiozłem 2000 sztuk, więc przeprawa odbywała się wolno. Pozostawiłem zatem oddział frontem do przeciwnika, przed wsią, na lewem skrzydle na wzgórzu stanęła kawalerya Radowickiego, środek zajęli strzelcy z Wolaninem; na prawem skrzydle — część strzelców z Szaniowskim, poza nimi kosynierzy z Golanem.

W tym porządku cofaliśmy się eszelonami ku Bugowi. Kozacy zaczęli natarczywie atakować strzelców, by gen. Nostitz mógł nadciągnąć z piechotą i artylerją. Posyłam rozkaz Radowickiemu, by rozpedził kozaków. Ten wyciąga kolumnę szóstkami i rusza z kopyta na kozaków. Atak był dzielny, lecz i kozacy nie stehórzyli. Essaula ich rozwinął szereg jak zwykle w półksiężyc tatarski. Chciał widocznie naszych otoczyć, lecz gdy się zbiegli do siebie, wyszło to, co tylko może się zdarzać w oddziałach powstańczych, a nie z żołnierzami wywi-

czonymi, — stanęli jak wkopani w ziemię i tylko pył ich otoczył od kopyt końskich, zarytych w ziemię. Wtedy Szaniowski wyskoczył naprzód ku nieprzyjacielowi i w drodze wystrzelił z pistoletu ku kozakom. Był to sygnał zaczepny. Nasi uderzyli i bitwa trwała nie więcej nad minut dwadzieścia. Przewaga była po stronie naszych jeźdźców, gdyż mieli konie rosłe, a gdy który uderzył o konia kozackiego, ten padał. a kozak z nim. Trzydzieści trzy konie pozostało w rękach naszych, kilkunastu rannych kozaków legło na placu. Essaulę zabił jeden z masztalerzy, choć sam był przez niego szablą, a przez innego kozaka lancą, raniony. Naszych było także kilku rannych, żaden jednakże nie zginął. Do utarczki na bagnety nie przyszło — strzałami nas tylko z oddala prażyli przeciwnicy. Przeprowiwszy obóz za Bug, przeprowialiśmy się kolejno i sami. Kawalerya przeszła wplaw, obsypywana granatami. Gdy ostatni pluton strzelców wsiadł na prom, ja z Wolaninem łódką przepłynęliśmy rzekę. Podano mi konia. Wydałem rozkaz, by na probostwie wszyscy się zebraли, Wolaninowi zaś poleciłem pilnować brzegu. Wyciągnął prom na brzeg, przedziurawił go, lecz za ledwie siadłem na koń, gdy błędna jakaś kula uderza Wolanina w czoło i kładzie go trupem.

Była to dla nas strata nie mała. Energiczny i śmiały bardzo — w pierwszej bitwie pod Białką dał tego dowody — przez cały czas bitwy stał na

szosie, przy rowie, w którym, nasi kłęcząc, strzelali. Wyszedł podziurawiony jak rzeszoto od kul, żadna go nie powaliła, a tu, po bitwie, dziwnym trafem padł od błędnej kuli! Gdy taki jeden ginie, to giną z nim tysiące! Cześć twej pamięci bracie Baltazarze Wolaninie!

Pochowaliśmy go na drugi dzień, po nabożeństwie, w Niemirowie. Strzały dochodziły do nas nawet granaty pękały. Owi dwaj oficerowie rosyjscy — wzięci do niewoli pod Białką, głowy przed owymi granatami zakrywali płaszczami, by nie paść się na śmierć od kul własnych żołnierzy. Śmieszło to naszych, ale tak już z tem się obyliśmy, żeśmy przestali zwracać na to uwagę. Tak noc przeszła. Odpoczynek. Chowanie Wolanina. Ruszamy ku Wysokiemu-Litewskiemu. O wiorst siedm zatrzymujemy się obozem we wsi, należącej do rodziny Ziemkiewiczów. Na drugi dzień, w kilkanaście koni, jadę do Wysokiego, do Sapiehy. Zastaję go i błagam, by przyjął dowództwo, by się poświęcił dla sprawy, by stanął na czele oddziału tysiąca ludzi, który już dwa razy był w ogniu i jest pelen ducha i że na jedno jego odezwanie się cała Litwa powstanie. Nic to nie pomogło. Nie był to niestety potomek owych Sapiehów, co szablice mieli w obronie kraju zawsze do walki gotowe... Dał nam sześć koni, dwie dubeltówki, 250 rubli pieniędzy — oto ofiara, jaką złożył dla sprawy. Z tem wróciłem do obozu.

X.

Dowiedziawszy się, że w Siemiatyczach, o 35 wiorst odległości od Wysokiego, zebrany jest oddział powstańczy, niewiadomo pod czyjsem dowództwem i jakiej siły liczebnej, posłałem do Siemiatycz list tej treści: „Naczelnik oddziału Podlaskiego, wzywa dowódcę oddziału w Siemiatyczach, by bezwzględnie przybył z tym oddziałem, dla wspólnego dalszego działania“, (podpis, oraz pieczęć i podpis naczelnika sztabu Goliana).

Gdyby mnie był podówczas usłuchał ów dowódca, być może, że i następstwa byłyby pomyślniejsze dla nas, gdyż zamiarem moim było iść na Białowieżę, siedlisko żubrów, lecz i ludu, co pamiętał jeszcze rok 1830.

Nieszczęście mieć chciało, że w Siemiatyczach dowodził człowiek zarozumiały, wypadkowo jedynie narzucony na dowódcę, jakiś budowniczy z Łap. Zebrało się tam dużo młodzieży z Warszawy i okolicznej szlachty, bez wodza. Ten się im narzucił, błagą zaimponował, więc wszyscy ruszyli do Siemiatycz. Fanfaronada, z jaką traktował powstanie, dostatecznie ujawniła się w liście przezeń mi nadesłanym przez Juliana Chodorowicza, mego kolegę szkolnego. Odpowiedź brzmiała: „Naczelnym wódcą armii podlaskiej, wzywa niniejszem naczelnika oddziału podlaskiego, by niezwłocznie zjawił się

w Siemiatyczach, w głównej kwaterze, dla wspólnego dalszego działania, (podp.) Zameczek, vel Cichorski. Naczelnik sztabu: Seyfryd“.

Odpowiedź taka zdziwiła mnie niepomiernie. Na zapytanie moje uczynione Chodorowiczowi: Ilu was jest? Co robicie? odpowiedział mi, że ich jest zapewne ze trzy tysiące ludzi, że szyją mundury i robią pancerze dla ułanów. „Nasz generał — nadmienił — ma już śliczny mundur, z ogromną wstęgą na piersiach i dlatego właśnie przystań do nas, bo inaczej źle będzie...”

Zawahałem się i choć mogłem skorzystać z praw moich, jako komisarz rządowy, i iść tam, gdziebym chciał, jednakże miłując kraj i sprawę, której się oddałem, pomiąłem względy osobiste i, w nadziei, że oddział mój pozostanie mi posłuszny, i że będę miał przewagę nad tą gromadą, poszedłem do Siemiatycz.

Miałem do przebycia 35 wiorst, z oddziałem 900 ludzi i stu wozów. Przeprowa nie była łatwa. Był już wieczór, gdym się zatrzymał na nocleg o 10 wiorst od Siemiatycz, w karczynie, przy drodze.

Zaledwie się zacząłem rozlokowywać, gdy usłyszałem huk strzału armatniego. Domyśliłem się, że to hasło do boju w Siemiatyczach. Dziesięć wiorst przebiecz po nocy, z tysiącem ludzi, było rzeczą niemożliwą, więc, skrepowany w działaniu, posłałem tych tylko, co zdążyć mogli: Radowickiego

z kawaleryą i Goliana. Ci wpadli do miasta, w chwili, gdy nieprzyjaciel zeń się wycofywał.

Zanim opiszę ów nocny napad, wypada mi zatrzymać się na topografii Siemiatycz. Miasto to leży na drodze prowadzącej do Bugu, pomiędzy Drohiczyńnem a Bielskiem i Białostokiem, po nad szerokimi błotami. Idąc zaś od Wysokiego litewskiego trzeba przebyć i błota i rzekę mostem, przez nie rzuconym, a prowadzącym wprost na rynek, z którego na lewo idzie aleja, prowadząca do pałacu i fabryk sukna. a dalej — droga do Drohiczyzna. Po prawej stronie stoją dwa kościoły: katolicki i unicki. następnie dwa cmentarze, otoczone murem. Już na brzegu miasta, nad drogą prowadzącą do Bielska i Białegostoku, po za cmentarzami, rozciągają się owe wzmiankowane błota szeroką przestrzenią. Na rynku była podówczas duża murowana karczma, a od strony Wysokiego-litewskiego, przed błotami, — wielki drewniany szpital, z kilku pawilonów złożony, w tę porę pusty. Miasto całe należało jako donacya do barona Fąshawe. Dowódzca Zameczek stał już w Siemiatyczach od dni dziesięciu, zabawiając się szyciem mundurów i robieniem pancerzy z blachy, obszytych ceratą. Otoczył się kilkudziesięciu młodymi ludźmi, których nazwał swoim sztabem, tworzył oficerów nie umiejących być żołnierzami, tem mniej zaś zdatnymi do kierowania wojskiem i demoralizował blagą ów zapal młodzieńczy. O tem — gdzie

przeciwnik? co robi? najmniejszego nie miał wyobrażenia. Żadnych wart, żadnych podjazdów! Dla tego też, gdy Rosyanie od Bielska weszli do miasta i byli już na rynku, młodzież rozlokowana po domach dopiero ich spostrzegła i zaczęła z okien dawać strzały, na oślep... Ciemna noc i rana zadana pułkownikowi prowadzącemu nieprzyjaciela, zmusiły tego ostatniego do odwrotu. Wtedy młodzież, bez przywódcy, zagrzana tem powodzeniem, wybiega za cofającym się na pole i rusza wprost na armaty! Następuje strzał: kilku naszych pada i cofa się, lecz widzi, że i Rosyanie, oszołomieni śpiewem „Jeszcze Polska nie zginęła!“ cofają się, pozostawiając armaty na polu, aż do świtu...

Rano Zameczek zamierzył umknąć z miasta. Wysłał obóz z kawaleryą do Drohiczyzna, pod dowództwem Plucińskiego, naczelnika stacyi kolei na Pradze, a choć wiedział od Radowickiego, że jestem o dziesięć wiorst od niego, nie wstrzymał wysyłki kawaleryi w 200 koni, czem niemało osłabił oddział. Radowicki wraca z raportem, że wroga już nie zastał, przybywa z nim Seyfryd, naczelnik sztabu Zameczka, ten, co wyjechał z Zygmuntem Padlewskim z Warszawy, także, jak się następnie okazało, małej odwagi, a zarozumiałości wielkiej.

Seyfryd powrócił zaraz do Siemiatycz, więc wiedział Zameczek z jakim idę oddziałem i że nad ranem się stawię. To go jednak nie powstrzymało od zamiaru wycofania się z Siemiatycz.

XI.

Godzina 8 rano. Podchodzę do miasta i zajmuję owe szpitale, urządzam obóz i rozdaję wszystkim ładunki, jakie miałem, strzelcom swoim, którzy tylko wyczekiwali chwili spotkania się z nieprzyjacielem... Zjawia się u mnie Jan Matliński z kilku jeźdźcami (Janek Sokół). Przyjechał do Jabłonowskiego, co stał z obozem w 800 ludzi, o sześć wiorst od Siemiatycz. Po bitwie pod Węgrowem przeprowił się za Bug. Posyłam więc rozkaz Jabłonowskiemu, by niezwłocznie przybył, gdyż bitwa spodziewana lada chwila. W takim razie niech uderza z tyłu (gdyż tak właśnie stał względnie do miasta). Z takim rozkazem Matliński pojechał, a ja byłem pewny, że za dwie godziny najdłużej nadejdą oczekiwane posiłki. Rozlokowawszy oddział, pojechałem do miasta, wjeżdżam na rynek, gdy z drugiej strony wchodzi do miasta w 400 ludzi Lewandowski, który, po nieudanej wyprawie na Siedlce, także przeprowił się za Bug. Był przy nim doktor Czarkowski z Łosic, o którym już wspominałem. Tak więc zebrała się naszych gromada. Zesiadam z konia i wchodzę do karczmy, gdzie była kwatery owego naczelnego wodza armii Podlaskiej, Zameczka. W izbie karczemnej przepelnionej dymem tytoniu, zastaję 50 młodych ludzi w jaskrawych ubraniach, mundurach ułańskich z blachami

na piersiach. a pod oknem, wodza z czarną brodą w białej czapce, z czerwonym lampasem, w ciemnozielonym mundurze, z czerwonym kołnierzem, z ogromną wstęgą niebieską przez piersi. Był to Zameczek.

Na moje zapytanie: co oznacza owe zebranie? jeden z młodzieńców odrzekł, iż to sztab generała.

Rozdrażniony tem, zwracam się do Radowickiego, przy którym stali: Golian, Szaniawski i Lewandowski i rozkazuję: Wypraw ich wszystkich do szeregów! Żołnierzy nam trzeba, a nie sztabowców!

Usłyszałem szemranie, lecz gdy Radowicki zakomenderował do swoich, którzy stali na koniach na ulicy: „Z koni!“ wszyscy opuścili karczmę.

Wtedy dopiero nastąpiła żywa między mną a Zameczkiem rozmowa. Wystąpiłem jako komisarz rządowy, przedstawiłem Lewandowskiego jako głównego dowódcę, naznaczonego przez Rząd Narodowy, dla województwa Podlaskiego. Zameczek ustąpił. Wyjeżdżamy z nim za miasto, obejrzeć pozycje i naradzić się nad obroną. Nie było wiele czasu do stracenia. Przez lunetę spostrzegliśmy o kilka wiorst zbliżające się kolumny rosyjskie...

Stało na tem, że Zameczek ze swemi siłami zajmie stronę miasta od Bielska, z kąd dążył nieprzyjaciel, przenocowawszy na cmentarzach, za którymi stali kosynierzy. Środek miasta, rynek, zajmie Lewandowski ze swoim oddziałem, ja zaś mam zająć lewe skrzydło miasta — pałac.

Pędzę więc do obozu. Oddaję dowództwo nad kosynierami Golianowi, część strzelców Szaniawskiemu, nad resztą sam biorę komendę i prowadzę ją przez miasto, rynek, aleje, do pałacu.

To była trzecia nasza bitwa. Szliśmy obochozo i w porządku, a gdy wpadliśmy na rynek, oddział Lewandowskiego powitał nas salwą okłasków i okrzykiem: niech żyją!

Biegniemy do pałacu, zajmujemy go. Szaniawski staje na brzegu miasta, pomiędzy mną, a Lewandowskim; Radowicki z kawaleryą w alei, a Golian, po za murami pałacu, ze swymi kosynierami.

Zamiar nasz był następujący: Jeśli się uda odbić atak nieprzyjaciela od miasta, to z całą siłą naszych kosynierów wyjdziemy na pole i tam się rozprawimy. Liczyłem na nasz zapal i na popłoch przeciwnika, gdy z tyłu nań uderzy Jabłonowski, o którym nie wiedzieli. Szło o to tylko, by zwycięsko odeprzeć atak! Rosyanie zbliżyli się, okolicili miasto i zaczęli pod nie podchodzić rozwiniętym łańcuchem...

Wtedy spostrzegłem, że ich siły znaczne, gdyż, jak się okazało, przyszedł im w pomoc generał Maniukin z Białegostoku i przyprowadził dwa szwadrony ułanów, sześć armat, dwa bataliony piechoty i dwie sotnie kozaków.

Liecznie — byliśmy górą, lecz broń nasza była mizerna, żadnej znajomości walczenia w żołnie-

rzach i, niestety, brak koniecznej w takich razach odwagi!

Strzał armatni! Granat padł na dach pałacu, gruz posypał się na głowy nasze i zaczęła się bitwa.

Rosyanie rzucili się do ataku, posuwając się ku nam. Kule karabinowe zaczęły świstać, granaty pękać nad głowami, my zaś musieliśmy czekać, aż się nieprzyjaciel zbliży na metę naszych dubeltówek i odstrzeliwać się bezskutecznie...

Na atakujących, wysunęli się kosynierzy. Można przyznać, że uderzyli dobrze, bo wróg się cofnął na chwilę. Chciałem się przekonać, czy to na całej linii się stało, lecz dym nie pozwolił mi ogarnąć okiem pozycyi. Posyłam do Szaniawskiego, by się dowiedzieć, jak idzie obrona? gdy wtem wpada Radowicki z kartką od Lewandowskiego, w której zapowiada, że prawe skrzydło nasze, Zameczek, cofnęło się, wyparowane z cmentarzy przez dwie roty piechoty nieprzyjacielskiej i że wróg zabiera się atakować rynek...

Tak. Zameczek cofnął się, nie uległszy sile, lecz wprost stchórzywszy, i tem zgubił cały oddział, i był przyczyną przegranej Siemiatyckiej. Cofając się przez błota, masę daremnie wystrzelanych wytracił.

Tymczasem Szaniawski ze swymi strzelcami, odbija strzelców rosyjskich — cofają się oni dwukrotnie przed jego strzałami, lecz nas zasypują gradem kul armatnich i karabinowych, nie pod-

chodzą wcale pod nasze strzały. Trwa ta nierówna walka godzinę całą!

Nieprzyjaciel znów zbiera się do ataku skierowanego na prawe nasze skrzydło, i idzie wprost na rynek, gdzie stał Lewandowski. Nowy goniec od niego: „Cofam się, bo nas okrążają i ataku nie wytrzymam!“ Cały zastęp nieprzyjaciela przed nami. Strzelcy nasi, klęcząc po za sztachetami pałacu, strzelają, mierząc dobrze i ten zapęd ich powstrzymują. W tem Radowicki wpada z wiadomością, że wróg już na rynku, że Lewandowski się cofnął i, co robić, pyta? Ha!... musieliśmy się z rozpaczą cofnąć i ruszyć do obozu, by go kozacy nie dosięgli. Rzeczywiście czas był wielki. Radowicki pędem przebiega rynek, most i wpada do obozu, gdy z drugiej strony już kozacy zdołali odciąć konie od paru wozów. Radowicki obóz odbija, zabiera go i prowadzi na drogę, po której przyszlismy ku owej karczynie, w której nocowaliśmy. Ja tymczasem, wycofuję Szaniawskiego i zbieram oddział.

— Chłopy! — wołam — cofamy się, ale krok za krokiem, strzelając!

Tym sposobem zasłaniamy kosynierów, idących naprzód z Golianem. Wchodzimy na rynek; po jednej stronie — nieprzyjaciel, po drugiej — my. Strzelając do siebie wchodzimy na most. Tu, w ściśniętej kolumnie kilkunastu z nas pada od strzałów nieprzyjacielskich. Dążymy bezładnie na drogę,

po za miasto, które objęte dymem i ogniem od strzałów zapala się i oświeca nam złowrogo drogę odwrotu. Rozpacz i gniew miota nami, że trzeba się cofać, gdy rano jeszcze tak pewni byliśmy zwycięstwa! Zameczek dał się wybić z pozycji, a Jabłonowski nie przybył, pomimo rozkazu. To nas zgubiło!

Ów Jabłonowski odtąd ustąpił z pola działania. Wyszedłszy za granicę, został agentem kompanii francuskiej i przed paroma laty umarł w Turcji.

* * *

XIII.

Przegrana Siemiatycka musiała bardzo ujemnie oddziaływać na rozwój powstania w gubernii grodzieńskiej. Ja zostałem bez ładunków, zaledwie po parę sztuk mieli strzelcy. Mieliśmy wprawdzie jeszcze proch, lecz trzeba było czasu, aby ładunki przygotować, a żołnierz łaknął odpoczynku, po dwóch dobach głodu i zmęczenia. Zatrzymuję się w karczmie, na drodze do Wysockiego litewskiego, na nocleg. Tu zastaję Lewandowskiego z częścią rozbitków Zameczka, jego samego i Seyfryda, gotowych do ucieczki. Gdy nas spostrzegli, pędem się puścili ku Bugowi i odtąd ich więcej nie widziałem!

Żałuję, że ich nie kazałem przedtem rozstrzelać!

Dowiedziałem się później, że dopadli do Drohiczyna, tam z obozem wprzód wysłanym poszli dalej że Zameczek przystawszy do oddziału Padlewskiego, znowu stchórzył i przyczynił się do przegranej. Co się stało z Zameczkiem? nie wiem. Zapewne przestał się nazywać w ten sposób. Seyfryd dobił się dowództwa w województwie Mazowieckiem, lecz kto mu dał taką godność? także nie wiem. Wiem tylko, że w pamiętnej bitwie, w której zginął Jung de Blankenheim, a Włodek ledwie część oddziału wyratował (w maju, 1863) Seyfryd nędznie się popisał, wycofał ze środka i pozwolił nieprzyjacielowi otoczyć jednego i drugiego. Miał być za to wyrokiem Rządu Narodowego rozstrzelany, lecz w skutek słabości komisarza rządowego, który wyrok miał wykonać, zdegradowanym jedynie został, pozbawionym dowództwa i okryty hańbą wyszedł za granicę.

Przenocowawszy w karczmie, zebrawszy swój oddział i resztki innych, ruszyłem napowrót ku Wysokiemu-Litewskiemu, by przerzucić się napowrót w podlaskie, lub iść do Białowieży, gdzie mnie coś ciągnęło... Najglówniejszą myślą moją było: przerzucić powstanie na Litwę, by jego obszar był większy; a tem samem i trudniejszy do stłumienia. Przed wieczorem, na kilka wiorst przed wsią Zienkiewiczów, dowiaduję się, że Rosyanie pod dowództwem generała Nostitza tam biwakują.

Byłem w pozycji nie do pozazdroszczenia, gdyż ani czem atakować, ani też czem się bronić. Wpłynęło to na mój odwrót ku Białowieży. Schodzę z drogi i zatrzymuję się w wiosce, o 3 wiorsty od gen. Nostitza, tak, że tylko niewielkie błota i brzezina nas rozdzielały, a pikiety mogły ze sobą rozmawiać. Rozbiwszy obóz, na prędko robimy ładunki, wyczekując lada chwila nadejścia Nostitza. Lecz ten dwa razy już się z nami potykał, więc liczył, że znowu na niego uderzę. Przy tem, jak się okazało, nie wiedział o naszej porażce; był pewnym, że ja, zebrawszy siły Siemiatyckie, powróciłem, by go atakować... Tak staliśmy wprost siebie blisko dobę. Ja, odpoczywałem i zbroilem się, oczekując napadu z jego strony...

Tutaj to właśnie zawiązała się między nami, jakby pierwsza znajomość...

Odbieram kartkę od p. Zienkiewiczowej, że były oficer armii rosyjskiej, niejaki Janiszewski, Tatar z pod Białą, który był u mnie w oddziale, a ranny pod Niemirowem, w powrocie do domu, wziętym został przez gen. Nostitza, jest u niego i jako oficer, będzie zapewne rozstrzelany. Ja zaś, miałem u siebie dwóch oficerów, wziętych pod Białką do niewoli.

Na taką wiadomość powziąłem myśl, zaproponować gen. Nostitzowi zamianę... Sądząc więc na brykę jednego z tych oficerów, kosyniera na kozioł i posyłam do generała, z listem:

„Jenerale! proponuję zamianę. Wypuść Janiszewskiego, odeszłę Ci drugiego oficera. Jeśli nie, to — rozstrzelam!”

W parę godzin wraca oficer, przywozi list od Janiszewskiego, że jest wolny, że jedzie do domu i kartkę Nostitza w tych słowach: „Proszę dotrzymać słowa!”

Ma się rozumieć, że dotrzymałem. Sądząc drugiego oficera na brykę i odsyłam obu. Kosynier z bryką powrócił, odwiózłszy jeńców do obozu.

Była to, jak powiadam, pierwsza moja listowna znajomość z gen. Nostitzem, która, później, dla mnie miała bardzo ważne następstwa...

Doba cała przeszła, jak patrzyliśmy sobie w oczy. Ja, nie mogłem zebrać sił, by być pewnej wygranej, więc postanowiłem ruszyć do Białowieży, licząc na pozycję w lasach, na lud tameczny, na ogólny ruch powstania.

Zwinąłem więc obóz i ruszyłem ku puszczy. Na noc dotarłem do wsi pana Śnieżko. W domu go nie zastałem. Przyjechał dopiero w nocy, z jakimś urzędnikiem ziemskim. Był wdowcem i miał ładnego chłopca, wieku lat 12 do 14.

Tu, u Śnieżki, chciałem zdać główne dowództwo Lewandowskiemu, jako naznaczonemu przez Rząd Narodowy, by dać przykład posłuszeństwa. Lecz wszyscy, co byli ze mną od początku, jednogłośnie powstali przeciw temu, prosząc, bym ich

prowadził i nadal Nad ranem wyszliśmy w stronę puszczy. Nostitz, spostrzegłszy, żeśmy wyruszyli bez atakowania jego wojska, wyruszył za nami, tak, że wieczorem, po naszym odejściu, nadszedł do Śnieżki. Kozacy jego wpadli najprzód w dziedziniec. Przed domem spotykają kucharza Śnieżki, który, ujrawszy ich, wystrzelił jakoby do nich. Śnieżko wypadł na dziedziniec, chcąc zażegnać burzę. Wtedy jeden z kozaków uderzył go pałaszem i na miejscu trupem położył. Wszczął się alarm. Wojsko podchodzi, strzelanina na osłep z armat, palą wieś i niszczą majątek. W jednej chwili młody Śnieżko utracił ojca i mienie! (Jestto późniejszy Śnieżko, znany ze sprawy denuncyacji przeciw Towarzystwu kredytowemu i uwolniony wyrokiem sądu! Obecnie pełni w Rosyi obowiązki biurowe...)

Zaledwie weszliśmy do puszczy, gdy Lewandowski nagle oświadczył, że dalej się nie ruszy, że musi wracać za Bug, do Korony, gdyż tamznaczony na dowódcę. Nie chcąc szerzyć rozdwojenia, objawiłem oddziałowi, że go zwalniam od dalszego pochodu, lecz gdy dywersja jest potrzebną, przeto wzywam młodzież na ochotnika ze sobą. Przystało wtedy do mnie 150 młodych ludzi, część Litwinów z pod Siemiatycz, z Bronisławem Rylskim i Sagine, rządcą majątku z pod Siemiatycz. Resztę stanowili ci, którzy byli ze mną, od pierwszej nocy powstania. A że wiedziałem, iż generał idzie za nami, więc zaraz z ową młodzieżą

wyruszyłem, zabrawszy ze sobą parę wozów, jeden z amunicją, drugi ze srebrem, zabranem w Janowie. Były to przeważnie puhary, wartości kilku tysięcy rubli. Wyruszyłem zaraz, by zmylić rachuby Nostitza. Tak się też stało! Wszedłszy do puszczy, wziąłem jednego ze strażników granicznych, by nas prowadził. Przewodnik ów widział, żeśmy się rozdzielili, więc po moim odejściu uciekł do Lewandowskiego, wpadł na Nostitza i opowiedział mu, że ja, (to jest ten, który był w czerwonej koszuli Garybaldowskiej) — poszedłem do Strażnicy „królowym mostem“ zwanej, reszta zaś wróciła do Królestwa. Widocznie uważał mnie gen. Nostitz za ważną personę, gdyż przepuścił obok siebie Lewandowskiego, który swobodnie przeprawił się za Bug, i poszedł za mną z dwoma batalionami piechoty, dwiema armatami i kozactwem.

Nocujemy w Strażnicy, na brzegu puszczy. Rozdzielają nas od niej błota i kanał przerżnięty, na którym ów most zbudowany. Porządkuję oddział, wyznaczając oficerów, podoficerów i dzieląc go na sekcye. Była to dzielna młodzież, gotowa na wszystko, ostrzelana już trochę, więc łatwo było pomieszczać między nią nowych żołnierzy. Nad ranem przyjeżdża niejaki Tołoczko, mieszkający nieopodal i oznajmia, że zostawił Rosyan o dziesięć wiorst za nami. Rzeczywiście, nie przeszła godzina, gdy strzał pi-kiety daje znać, że nieprzyjaciel nadciąga. Stajemy do broni. Widzę, iż nieprzyjaciel chce nas otoczyć

i że się rozwija w łańcuch, by nam zabiedz drogę do lasu. Trzeba nam było przejść groblę i most. Wychodzimy łańcuchem. Zaczyna się kanonada. Dwa bataliony dały do nas ognia, byliśmy w mniejszości, więc cofamy się, strzelając. Tracimy kilkunastu na owej grobli, wchodzimy do lasu, na którego skraju zatrzymujemy się. Tak przetrwaliśmy kilka godzin.

XIV.

Kozactwo i żołnierze, wpadłszy za nami do Strażnicy, do domu, w którym nocowaliśmy na dziedzińcu, spostrzegli owe dwa wozy i leżące na nich kufry. Rozbili pierwszy, a gdy ujrzeli srebra, rabować je poczęli. Od strzałów zapaliła się słoma, ztąd pożar. Rozbijają drugi kufer, ale tam był umieszczony — proch... Eksplozja. Kilkunastu rannych i zabitych pada. Darmo nam. przynajmniej prochu nie zabrali!

Widzę, że Nostitz wysłał oddział na drogę ku Białowieży, i dlatego nie idę w głąb, lecz brzegiem puszczy, by się oddalić od napaści i zyskać na czasie. Późnym już wieczorem wchodzę do miasteczka Szereszewa. Jestto już powiat Prużański i miasto Prużany, w odległości wiorst dziesięciu od Szereszewa.

Byliśmy głodni, dobrze obdarci i znów bez ładunków i prochu. Szereszew nadspodziewanie dał

nam wszystkiego pod dostatkiem: butów, bielizny i jadła obficie. Całe miasteczko na wyścigi się zbiegło, by nas nakarmić: a żydzi dostarczyli reszty; gdym zapowiedział, że płacę gotówką, dali nam to, czego najwięcej było potrzeba: prochu, ładunków i pistonów do karabinów mnóstwo. Prochu samego kupiłem dziesięć pudów. Tak więc znowu było czem strzelać. Zeszło godzin kilka na robieniu ładunków. Dowiaduję się, że w Prużanach stoi załoga 250 ludzi, w koszarach murowanych, wśród miasta. Trzeba było dać znak życia i pomścić się za Królowy Most. Wezwałem mieszczan, by nam czempredziej zaprzęgli wózki. W godzinę byliśmy już w drodze do Prużan. Był świt. Wpadamy do sennego jeszcze miasteczka, podjeżdżamy wprost do koszar. Ja na pierwszym wózku. Żołnierz na warcie. Stajemy, by nie strzelił i nie dał sygnału. Skoczyłem z wozu i za chwilę szyldwach leżał nieżywy. Padł od mego sztyletu. Wpadamy do koszar na korytarz. Tam leży półsenne żołdactwo. Strzały! Wszystko się poddaje. Wynoszą nam na wozy całą broń, amunicję, a choć ich było dwa razy tyle, stają jak barany w pokorze. Idziemy do kasy. Tu zabieram całą gotowiznę — 12 tysięcy rubli... i najskrupulatniej kwituję kasyera, nie ruszając wszakże pieniędzy wdów i sierot, tamże złożonych.

Następnie rozbrajamy odwach więzienny i wy-

puszczamy wszystkich na wolność, gdyż nie miałem co robić z jeńcami.

W południe wychodzę z Prużan, skąd tylko dwóch ochotników przystało do nas i kieruję się ku Kobryniowi. Chciałem się przerzucić na Wołyń, by zmylić ślad za sobą. Po drodze wstąpiliśmy do majątku Szemiota, majora z 30 roku, tegiego jeszcze, starego wojaka. U niego nocujemy.

Tu dowiaduję się, że Nostitz idzie za mną, że był w Prużanach, i że z Kobrynia wyszło wojsko z drugiej strony, by mi zająć drogę. Przybywa Hofmajster z pod Prużan. Dawny to z Orenburskich batalionów zesłaniec, bardzo szlachetny i prawy człowiek, kochający kraj obywatel. Przywozi pudełko cygar, a że ja nie byłem namiętym palaczem, przyszła mi niewinna myśl do głowy i napisałem do Nostitza list w te słowa: „Generale! Ponieważ, nie zastawszy mnie, będziesz się zapewne nudzić, pozostawiam Ci cygara, by Ci się czas krótszym wydał”.

Rzeczywiście, gdy Nostitz nadszedł Szemiota list i cygara mu wręczył i to mój stosunek z Nostitzem jeszcze bardziej zacieśniło...

By się wykręcić od spotkania z nierównymi siłami, parłem naprzód, i dlatego postanowiłem koniecznie przedostać się na Wołyń. Wtedy Sagin, którego rodzina pozostała pod Siemiatyczami, oświadczył, że pragnie powrócić do swoich. Wszyst-

kie przedstawienia moje były bezowocne. Za nim poszedł i Bron. Ryłski z 50 młodzieży z pod Siemiatycz. Oddaję im z żalem część broni zabranej w Prużanach, połowę amunicji i pieniędzy.

— Wracajcie, — mówię! — Szczęść wam Boże! ja idę naprzód!

Zawrócili, lecz smutny był ich koniec, gdyż nazajutrz spotkali się z oddziałem Rosyan z Kobrynia i wszyscy, wraz z Ryłskim i Saginem na czele, zginęli.

XV.

Tymczasem doszedłem do Lubieszewa. Tu dwie drogi się przedstawiały: albo iść na Wołyń, lub też na Pińszczyznę. Wiadomości, jakie mnie doszły, choć później okazały się fałszywymi, przeważały, że poszedłem ku Pińskowi. W Pińsku nie wielka była załoga: rota inwalidów, rota piechoty i sotnia kozaków. Miasto, na pozór dobrze usposobione i zorganizowane, gotowe do powstania. Okoliczna szlachta ohoacza do boju. Ruszam więc, podchodzę pod Pińsk, o 10 wiorst i posyłam nocą do miasta, Wołowicza, który znał dobrze stosunki tameczne; piszę list do Lubomirskiego, marszałka szlachty. Wzywam miasto, by mi pomogło, gdy uderzę na nie następnej nocy. Było nas 130. Żołnierze w mieście zebrani stanęli za murami soboru prawosławnego. Lubomirski wszakże wręcz odmó-

wił współdziałania, a i miasto, jak się okazało, żadnej organizacyi nie miało. Wyszło do mnie dwóch: Ostromecki, nauczyciel gimnazjum, i Królikowski, uczeń klasy 7-ej. Trudno więc było myśleć o ataku zwycięskim. Tak przebyłem pod Pińskiem dwa dni. Przerzucam się na drugą stronę miasta, na drogę do Słucka i Mińska prowadzącą, na ów kanał królewski i most zwodzony. Tu zatrzymuję sztafetę, od naczelnika miasta do gubernatora przesłaną. Z niej dowiaduję się, że za godzinę wysyłają 36 tysięcy, bo się obawiają mego napadu. Czekam przez ową godzinę.... Znowu sztafeta, wioząca pieniądze. Zabieram je i palę most, lecz tem oświetlam wyjazd gen. Nostitza do Pińska. Idę ku Słuckowi, rzucam się, to na tę, to na ową stronę drogi, pomiędzy szlachtę, lecz ta była jeszcze w odrętwieniu. Budzę ją, gdzieś gdzie ktoś się z nami łączy, lecz to nie stanowi siły... Mam ze sobą broni 18 wozów, brak tylko ludzi. Nocuję w majątku Lubomirskiego. Nad ranem mamy iść dalej. Kierując się ku majątkowi dawniej Radziwillów, każę szykować się i zdjąć warty. Był przy mnie oboźnym niejaki Zakrzewski. Idzie z nim dzielny chłopiec, Żukowski, eks-kleryk z Janowa. Ściągają warty. Właśnie jedną z nich zajmował Ostromecki. Polecilem ściągnąć go do obozu, gdyż za chwilę wyruszamy. W tem, strzał... To ów Ostromecki, nauczyciel, strzela i rani obu: Żukow-

skiego i Zakrzewskiego. loftkami z dubeltówki, a sam ucieka... Dowiedziałem się następnie, że po dwóch dniach tułaczki wpadł w ręce Rosyan. pomieszany na umyśle i zmarł w więzieniu. Ranni zabrali mi kilka godzin czasu, zanim ich opatrzyliśmy. Powieźliśmy ich ze sobą, lecz w drodze trzeba było ich zostawić u jednego szlachcica, gdyż dostali silnej gorączki.

Kołujemy ciągle, wreszcie jednej nocy zatrzymuję się w Borkach, futorze, z kilku chat kurnych złożonym i z kilku zabudowań.

Noc księżycowa, gwiazdzista. Widno, jak wśród dnia. Miałem dużo wozów i bryk. Rozstawiono pikiety. Wszyscy półsenni, odpoczywamy. Godzina 11. Budzi nas strzał pikiety. Nieprzyjaciel idzie na nas, będzie bitwa! W jednej chwili stawiamy wozy, zajmujemy za nimi i za węglami chat stanowiska, czekając spotkania, z ręką na cynglu... Z lasu, węzłem, po dwóch, wysuwają się Rosyanie. Były to trzy rotty rewelskiego pułku i sotnia kozaków. Kozacy zastępują nam tył, a piechota idzie ku nam. Byliśmy w sile o 7 razy od nieprzyjaciela mniejszej; nie chodziło więc o wygrane, lecz o sprzedanie życia jaknajdrożej. Zaczynają się strzały.

— Chłopcy! — wołam — strzelać, mierzyć prosto w piersi, nie spieszyć się!

Strzały w rzeczy samej były celne, lecz i nas przerzedzają. Co chwila ktoś z nas pada, nie jęknąwszy nawet, skutkiem bliskości strzałów.

Reszta walczących tworzy klin i zaczyna się cofać. Kozacy chcą nas otoczyć, lecz ich strzałami zwalamy z koni i dostajemy się do lasu. Tymczasem piechota w futorze rabuje obóz.

Była to ostatnia moja bitwa. Cześć wam dzielni towarzysze z pod Borek! Legliście wszyscy rycersko, z okrzykiem: „Jeszcze Polska nie zginęła!”

Cała przestrzeń Pińszczyzny, którą przeszedłem, była jeszcze w uśpieniu. Organizacya tam nie doszła. Wilno i komitety litewskie dopiero działać poczynaly. I Ruś zaledwie budziła się z uśpienia. Jedna tylko Korona była w części przygotowaną, lecz tam byli ludzie, a broni nie było. Tutaj zaś była broń, a nie było ludzi przygotowanych do boju.

Przeszedłem taką przestrzeń, jakiej żaden z oddziałów nie przebył. Kręciły się one zazwyczaj w promieniu nie wielkim, póki ich nie rozbito, nie rozumiejąc zadania, jakie ruch nasz mieć był powinien... Wszystko to już minęło i powtórzyć się, daj Boże, nie powinno. Kraj inną drogą zdobyć musi udziałność. Młodsze pokolenie, tę drogę, pracując nad swem odrodzeniem, wynajdzie...

Uniknąwszy pogoni, wpadliśmy do lasu i do majątku Obuchowicza, potem przez głębie błót Pińskich docieramy do brzegu Prypeci, do majątku Antoniego Jeleńskiego. Tu nas chłopci całą gromadą otaczają, wrogo przeciw nam usposobieni. Musie-

liśmy sobie bronią torować drogę! Dowiaduję się, że w Turowie, u Młyńskiego, ma się odbyć naza-jutrz zjazd szlachty. Ruszam z jednym z towarzyszków do Turowa, pozostawiwszy resztę gromadki na noc u rządcy.

Zastaję tam właściciela majątku, byłego oficera ułanów, Młyńskiego. Miał właśnie jakiś zatarg z mieszczanami. Wszyscy prawosławni. Młyńskiemu zbywa na odwadze. Siada na koń i ucieka. Następnie, jak się dowiedziałem, przysłał do oddziału X. Maćkiewicza i wzięty w niewolę -- rozstrzelanym został.

I moja również fatalna wybiła godzina. Chłoptwo z popem na czele otoczyło mnie i trzymało przez kilka godzin, aż do przybycia dowódcy rosyjskiego, Albertowa, syna gubernatora z Płocka. Widząc niepodobieństwo oporu, poddałem się.

Przyznać muszę, że Albertow obszedł się ze mną po rycersku, a że w tej chwili przybył i adiutant Nostitza, który po bitwie w Borkach wrócił do Pińska, przeto urządzono zaraz kawalkatę, w ośm wozów. Wsadzono mnie na jeden z nich i pod konwojem kozaków i żołnierzy odwieziono w czwał do Pińska.

Tu pierwszy raz osobiście spotkałem się z Nostitzem.

Wszedł do pokoju, gdzie zebrało się wielu oficerów, przyglądających mi się z ciekawością, i przemówił po rosyjsku do mnie w te słowa:

— Panie R. szanuję Wasze męstwo. Podalbym Wam zaraz rękę, lecz ręce Wasze oblane krwią moich rodaków. Podnieśliście bunt przeciw naszemu cesarzowi i narodowi. Jeśli wam to będzie przebaczone, zostaniemy przyjaciółmi...

Zapytawszy, czym nie zmęczony i nie głodny (36 godzin byłem w pochodzie!) wezwał mnie do drugiego pokoju, pozwolił się umyć i rozpoczął rozmowę o losach naszego oddziału. Otoczyli nas oficerowie i zaczęliśmy rozprawić o strategii wojennej, o szczegółach naszej wyprawy.

W Pińsku przebyłem dni kilka. Ztamtąd gen. Nostitz osobiście odwiózł mnie do Brześcia i zdjąwszy moją fotografię, polecił odwiedzić mnie do Warszawy.

Tutaj, ze stacyi kolei, w karecie, otoczony kawaleryą i piechotą, odwieziony zostałem do cytadeli, jako jeden z pierwszych dowódców powstania, ujętych z bronią w rękę.

Tu nastąpiła komisya śledcza, pod przewodem Witkowskiego. Ogłoszony mi wyrok śmierci zamieniony został, skutkiem wstawienia się Nostitza, na zesłanie na życie całe do Syberyi. 14-go sierpnia 1863 r. wywieziono mnie z cytadeli. O komisyi wojennej, o Syberyi i innych epizodach ruchu powstańczego, jeśli siły pozwolą, opowiem innym razem...

Po latach trzydziestu pięciu, rozgrzeszony z win

młodości, odzyskałem wolność i odwiedziłem gen. Nostitza, obecnie już staruszka, dożywającego dni swoich w dobrach własnych, na Ukrainie.

Powitał mnie z niekłamaną radością i wzruszeniem...



Doświ. u
Znak 854
№ inw. 1103

TREŚĆ.

	Str.
Przedmowa	1
I. Szkoła wojskowa polska w Genui i Cuneo	7
II. Zaczątki powstania 1863 r. na Podlasiu i na Litwie	39

18

